

W numerze m. in.: WIESŁAW SADURSKI — „Gónicha” i „Smutne lato” • STEFAN ATLAS — „Gwałt na poecie” • CZESŁAW KLEPACKI — „Dziadek śmierdzi” • TADEUSZ KŁAK „Rozmyślania o Piętku” • LESZEK PROROK — „Stoń za 16 dolarów” • IRENEUSZ J. KAMIŃSKI — „Międzyrzec — kup pan „cegielkę” • MARIA BECHCZYC-RUDNICKA — „Dzieci się cieszą, dorośli płaczą”

CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 21.I.1968 Nr 2 (383) R. XXXV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

**BRUNO
JASIEŃSKI
W PARYŻU
czyli trzy
portrety
pisarza**

Anatol Stern

MAŁO — a mówiąc ściślej — nic nie mówiono dotąd u nas o tym etapie życia Jasińskiego, gdy w r. 1925 zdecydował się na wyjazd z kraju i osiedlenie się we Francji (jak sądził wówczas, na parę lat). Bo pomyśleć tylko: Lwów — i Paryż r. 1925. Wstrząs istotnie musiał być wielki: wyobraźmy sobie wolterowskiego „L'ingenu”, „Dzieci przyrody” — wśród Europejczyków.

Z właściwą sobie zdolnością do odcyfrowywania najbardziej charakterystycznych cech otaczającej go rzeczywistości, opisuje ten właśnie okres Ilija Erenburg:

Od rana do późnej nocy błądziłem po Paryżu, zaglądałem do kawiarni, gdzie przesiadywali giełdjarze, adwokaci, handlarze bydła, urzędnicy, robotnicy; rozmawiałem z ludźmi. Uderzyła mnie mechanizacja życia, wieczny pośpiech, reklamy świetlne, potoki samochodów. Rozumie się, było ich stożek mniej niż dzisiaj, nie było jeszcze telewizorów, dopiero zaczęto używać aparatów radiowych i wieczorami przez otwarte okna nie wdzierała się jeszcze na ulice wielogłosowa jala. Jednakże czułem, że rytm życia, że tonacja jego całkowicie się zmienia. Nocą na wieży Eiffa iskrzyło się nazwisko „króla samochodów” Citroena. Elektryczne karzki wspiwały się po fasadach kamienic koloru popiołu, usiłując skuśnić nawet księżyc aperiitivem Dubonnet lub kremem „Tajemnica wiecznej młodości”.

(...) Zaprosił mnie do siebie malarz Ozenfant; mieszkał w domu zbudowanym przez Corbusiera: światło, nagłość, biel kliniki lekarskiej lub laboratorium. Przypomniały mi się konstrukcje Tatłina, rozentuzjanzmowani „uchutemasowcy”. Niby to samo a jednak nie to samo... Myśmy odkrywali Amerykę imaginacyjną. A tymczasem dawno już odkryta i najzupełniej realna Ameryka przyszła już sama do Europy — nie z romantycznymi deklaracjami twórców z „Lefu”, lecz z dolarami i z trzęsawymi obliczeniami, z elektrolukami i z mechanizacją ludzkich uczuć.

Jeśli tak to widział i odczuwał pisarz znający a u fonda awangardę Paryża i najbardziej namiętne manifesty rosyjskiego futuryzmu i radzieckiego „lewego frontu” sztuki („Lef”) — to jak musiał odczuć swą nagłą zmianę klimatu kulturalno-cywilizacyjnego dwudziestolecioletni poeta polski?

(Dokończenie na str. 4)

Czekanie na męża

Janusz Koloniecki



Fot. Andrzej Różycki

LATEM osada wyludnia się z mężczyzną, jak w czasie pospolitego ruszenia. Piękniejsza połowa pracuje w polu, wygrzewa się w nadbużańskim piasku, przesiaduje w kawiarence i czeka na swoich ojców, mężów, narzeczonych... Aby więc poznać bliżej bohaterów mego reportażu, jadę tam w zimie.

Zasypana śniegiem osada przeciera rozespiane oczy. Świta. W ciszę poranka wwierca się natrętnie ciężki warkot naszego Stara pokonującego z trudem zasypane śniegiem. Mężczyźni, ale niezawodny środek lokomocji — i jedyny umożliwiający dotarcie w głąb tej zasypanej śniegiem, nadbużańskiej okolicy. Mijamy pierwsze domy piosząc stada kur i gęsi, które baraszkują swobodnie na pryncypalnej ulicy. Po obu stronach tej ulicy przykuc-

nęły nędzne chatki, a raczej budynki, długie budynki mieszczące pod wspólnym dachem i dom, i chlew, i stodołę. Skompromitowana to, ale typowa w tej okolicy architektura. Budynki walące się, o wykoślawionych ścianach i dziurawych dachach, przy nich płoty pochylone ze starości, od lat zaniedbane, nigdy nie naprawiane. Wyziera z nich nędza, aż piszczy. Z mgły wylaniają się smukłe wieżycy kościoła i olbrzymie kopuły cerkwi. Całe wieki przetrwały tak obok siebie w sąsiedzkiej zgodzie i dalej patrolują ze swej wysokości osadzie, tym domkom pochylonym od starości, wykoślawionym z biedy. Sławatycze.

Osada czyni na przybywsu wrażenie raczej ponure. Bieda. Nowych domów, murowanych, zbudowanych w nowoczesnym stylu nie ma tutaj ani na lekarstwo. Wszędzie wa-

jące się rudery. Ziemia licha, poewiartowana miedziami na kawalki. Osada nie posiada żadnego przemysłu. Z czego można żywić rodzinę? Albo zabawić się w miejscowej gospodzie? A ludziska, zwłaszcza ta brzydsza połowa Sławatycz, ma w tym kierunku szczególne upodobania.

W miejscowej placówce MO uzyskuje wręcz rewelacyjne wiadomości. W Sławatyczach i pobliskich Mościcach Dużych ludność od dziesięciu lat trudni się wozactwem. Zawód wozaka jak spadek przechodzi tutaj z pokolenia na pokolenie. Miejscowa tradycja ochrzciła tych ludzi mianem „Holendrów”. Miejscowości te bowiem były kiedyś skolonizowane przez Holendrów.

„Holendry” nie mogą usiedzieć (Dokończenie na str. 5)

Z brulionu

Witold Zechenter

— Bomby! bomby! — śmieje się mój wnuczek, jakże cieszy się z tego jesiennego bombardowania: gdy wiatr zawiewa, spadają kasztany, uderzają o ścieżkę, o trawnik, przelatują koło jego jasnej główki.

Słyszę nagle przeraźliwy świst, wycie i eksplozję. — Bomby! Bomby! — krzyczą dzieci, tułają się do matek, pędzą do schronów, do jam, do dziur i rozpadlin, padają w zagłębieniu terenu — dzieci o czarnych włosach, z oczyma jak czarne, podpuchnięte szparki. I przez chwilę nie ma mnie tutaj, w tej łagodnej jesieni, na ławce w słonku, przy jasnowłosym chłopczyku, który z radosnym pokrzykiwaniem zbiera spadające z drzew kasztany.

„Surveyor” osiadł na srebrnym globie i na rozkaz z ziemi wypuścił małą koparkę, księżycową zabawkę. Kopareczka zaczęła pracować.

W odległości trzystu kilkudziesięciu tysięcy kilometrów od niej pracuje w płaskownicy inna koparka-zabaweczka, małą dźwignią uruchamia ją mój wnuczek. Patrząc na tę koparkę, słyszę szelest przesypującego się księżycowego piasku.

Przez tę ulicę przebiega kilka linii tramwajowych. Stoję przy przystanku, czekam na „siódmkę” albo „dziewiętnastkę”, także „trójkę” byłaby mi dogodna. Podjeżdża „czwórka”, ludzie wsiadają, potem „dwunastka” — wsiadają, potem jakiś czarny tramwaj bez numeru, wsiada jeden siwy pan, trochę kulęjący — konduktor wypłaca z wozu — Nikt więcej? — zapytuje. Przez chwilę spojrzenie jego zatrzymuje się na mnie — nie, daje sygnał, tramwaj rusza, odjeżdża.

O, jest „siódmka” — wsiadam, jadę jeszcze od domu.

Kiedyś przeszedł po moim sercu jak przez trawnik.

— Ach, przepaszam — roześmiałaś się potem. — Nie zauważyłam tabliczki: „Nie deptać —”.

Gónicha

Wiesław Sadurski

ECH, Wiktora, Wiktora... To dopiero była gónicha... Teraz nawet nazwiska nikt już nie pamięta, tylko ten ni to pseudonim, ni to przydomek z czasów partyzantki. Miała wtedy ze dwadzieścia lat i sławę, jakiej nie powstydziłyby się historyczne postacie z marynarskich burdeli... Jej ojcem był Podlaski z Kłodkowiec, matką któraś z jego żon. Która? — sam chyba nie pamięta. Miał ich kilka, a że rękę miał ciężką i lędźwia niespożyte — żadna z nim długo nie wyżyła. Odprowadzał je więc kolejno na cmentarz i brał następną. Ziemi miał sporo, więc długo szukać nie musiał...

Ci, którzy go znali, nie bez racji chyba twierdzili, że Wiktor wdała się w ojca. No cóż, Pan Bóg krzywdy wyrównuje, jak mawiał ksiądz proboszcz. Tłuki Podlaski swoje baby: Wiktorze, jak była mała, też nie raz się oberwało, więc potem swoich chłopów też tłukła, ile wzięło. Tego pierwszego, za którego wyszła zaraz po wojnie, podobno nawet udusiła, ale potrafiła sobie dać radę i w sądzie. Co tam zresztą znaczył dla niej sąd, skoro przez jeden wieczór potrafiła przeciągnąć na siebie cały pluton, i jeszcze oberka tańczyła, aż huczało. — Dupe, chwala Bogu, mam jak stodoła — mawiała — to i snopków liczyć nie potrzebuję, chyba że na kopy...

Ale widocznie Bóg nie był łaskawy, bo dzieci Wiktora nie miała. Nawet ksiądz wikary nie pomógł, chociaż w krzakach omal na śmierć go nie zajeżdżała. Co mam zresztą mówić, ludzie widzieli... Tyle biedak zwojował, że z parafii musiał się pożegnać. A Wiktor, mimo że ksiądz proboszcz z ambony ją przeklął, dalej robiła swoje. Tyle, że kościół zmieniła... Teraz chodziła do narodowego...

Swoją drogą, dla wsi te dwa kościoły to nie były jaka wygoda. Ten narodowy został założony właściwie dla kawala, ze czterdziści lat temu, przez księdza, którego obrazilo lekceważenie biskupa. Mówił ładnie, to i ludzi sporo

przekabacił, a kiedy diecezja odeszła go za karę jako misjonarza do Afryki, wiele rodzin nie chciało słuchać kazań w „prawdziwym” kościele. Zbierali się na nabożeństwa w stodołę, aż wreszcie w środku wsi pobudowali mały, drewniany kościółek. I teraz stoją dwa: jeden wielki, murowany, drugi maleńki jak sąsiednie stodoły. Dla ludzi wygoda — przy ślubie ksiądz nie powie, tak jak w sąsiedniej parafii, że płaci się, powiedzmy, tysiąc złotych, ale — co łaska, bo a nuż wierny pobiegnie do drugiego kościoła... Podobnie tanie są pogrzeby... Cmentarze też są dwa, tylko nie wiadomo dobrze, jak jest z niebem i piekłem. Różnie ludzie mówią...

Wiktor chodziła więc do narodowego, gdzie ksiądz mówił, iż grzesznikom wybacz się winy. Ksiądz w dużym kościele też przestał ją przeklinać, bo po co ludzi odstraszać a tamtemu, z którym zresztą często spotykał się przy kartach — robić reklamę... Niech tam sobie grzeszy ta baba, i tak piekło jej nie ominie. Ludzie nie wiedzieli — które, ale też byli przekonani, że sprawiedliwość stanie się zadość, zwłaszcza po tym, jak Wiktor wygoniła z domu drugiego męża, a potem wzięła z nim rozwód...

(Dokończenie na str. 6)

Zmarli

Literatura polska poniosła wielką stratę — zmarł Jan Spiewak, poeta i tłumacz, głównie poezji ludowej narodów słowiańskich (razem z Anną Kamińską). Z utworów wspanych najgłośniejsze to „Dialogi naiwnych” i „Zapamiętanie do krateru”, ostatnim jego utworem był poemat „Anon”. Miał lat 52.

21 grudnia zmarł w 76 roku życia i 33 roku pracy na scenie Janusz Strachocki, jeden z najbardziej zasłużonych aktorów ostatniego półwiecza. Ostatnie 10 lat grał w zespole Teatru Narodowego w Warszawie. Posiadał również studia muzyczne i plastyczne, co uwiidaczniało się w reżyserowanych przez niego sztukach.

3 stycznia zmarła Hanna Morikowicz-Olczakowa. Pochodziła z zasłużonej dla kultury polskiej rodziny wydawców Morikowiczów. Opublikowała m. in. cenne materiały wspomnieniowe o Zeromskim, Korczaku i Sempolowskiej, jako pierwsza polska pisarka zajęła się problemami Nowej Huty. Pisała także dla dzieci i młodzieży.

W wieku 84 lat zmarła w Auxerre we Francji jedna z najbardziej znanych poetek Marie Noel. Opublikowała ona kilkanaście zbiorów poetyckich, pisała także dla telewizji oraz słowa piosenek.

Literatura

W warszawskim Domu Literatury odbyła się uroczystość jubileuszu 50-lecia pracy twórczej Tadeusza Łopalewskiego. Z najbardziej znanych utworów jubilat wyemfem chciałoby „Kroniki polskie”, „Kaduk czyli wielka niemoc” oraz „Hrzenie pustego morza”. Najcenniejszą nagrodą Peneluby za rok 1967 dla tłumaczy literatury obcej na język polski otrzymali: Zygmunt Kubiak w dziedzinie poezji za przekłady z literatur klasycznych i literatury nowogreckiej, Wacława Komarnicka w dziedzinie prozy za całokształt przekładów z literatury rosyjskiej.

Cytylnikowska seria „Z głową waleśką” ukazuje się 5 lat. Wydano 48 tytułów najwybitniejszych współczesnej prozy polskiej. W tym roku ukazał się m. in. „Listy do pani Z.” K. Brandysa, „Piękna choroba” M. Jastruna, „Choucas” Z. Nałkowskiej, „Opowiadania wybrane” T. Rózewicza i „Z kraju milczenia” W. Zukrowskiego.

Seria „Nike”, wydawana przez Czytelnika, ukazuje się już 10 lat. W tym czasie wydano ponad 130 tytułów najcenniejszych utworów prozy obcej w łącznym nakładzie 1 200 tys. egz. W tym roku ukazał się w serii m. in. „Utwory odnalezione”. I. Babla, „Mieć albo nie mieć” E. Hemingwaya, „Wyznania hochsztapiera Feliksa Krullia” T. Manna i „Uwaga” A. Moravii.

W serii „Pomniki literatury” wydawnictwo moskiewskie „Nauka” wydało w nakładzie 15 tys. egzemplarzy 23-stonowicowy wybór wierszy Apollinaire’a. Tłumaczem jest M. Kudinow.

W Karlsruhe była czynna wielka wystawa poświęcona Tomaszowi Mannowi. Z wystawionych rękopisów okazało się, że „Wyznania hochsztapiera Feliksa Krullia” Mann pisał od 1906 do 1954 r.

W październiku obchodzone 80-lecie urodzin, a obecnie 40-lecie wydania pierwszej książki przez jednego z najgłośniejszych pisarzy Meksyku — Martina Luisa Guzmána. Już w pierwszej książce „Orzeł i wał” Guzman przedstawia studenta, który przechodzi do szeregów rewolucjonistów aby walczyć o nowy porządek w ojczyźnie. „Cien caudillo” jest książką również polityczną. Guzman jest redaktorem miesięcznego tygodnika „Tiempo”.

Teatr

Na VII konkurs debiutu dramatycznego, organizowany przez warszawski teatr „Ateneum”, napłynęło 117 sztuk, ale jury nie przyznało żadnego nagród. Dwa wyróżnienia otrzymali: Zdzisław Morawski z Gorzowa Wlkp. i Jolanta Dworzak z Warszawy. Temat nadsyłania prac na VIII konkurs miało 30 września.

W lutym „Tango” Mroźka zostanie wystawione w teatrze dramatycznym w Splicie w reżyserii Zygmunta Huebnera, dyrektora Teatru Starego w Krakowie.

Wieczorna Moskwa” urządziła pierwszy plebiscyt na najpopularniejszych aktorów radzieckich. „Złote maski” otrzymali M. Careb, A. Stiepanowa, J. Borisowa, J. Ułjanow i I. Solowiew. Z wyjątkiem tego ostatniego pozostali występują aktualnie w bardzo popularnej sztuce „Warszawskie melodie”.

Zespół aktorów szwajcarskich „Les Traux libres” występował w kinach belgijskich i francuskich na scenkach o rozmiarach 2x2,5 m. Te same sztuki raz zostają wygwizdane, raz przyjmowane z aplauzem.

Amerkański Living Theatre rozpoczął czwarty rok pracy na emigracji. Zespół powstał w 1957 r. w Nowym Jorku, ale wskutek swoich nowatorskich metod pracy, które również z innych powodów został rozwiązany, a w 1967 r. odtworzony w Europie. Od tego czasu występuje w różnych salach, nie mając własnej. Ostatnio występował w Szwajcarii, gdzie pokazał m. in. „Antygone” oraz „Frankenstein” według powieści Mary Shelley. Aktorzy mówią po angielsku, ale sztuki zawierają bardzo mało tekstu.

Sztuka

Na ogólnopolskiej wystawie rzeźby 1967 r. oraz wystawie „Polska rzeźba współczesna w fotografii”, które odbyły się w warszawskiej „Zachęcie”, przyznano 11 medali oraz 36 nagród ministra Kultury i Sztuki.

W wyniku konkursu Muzeum Słaska Opolskiego oraz „Trybuna Opolskiej” muzeum zyskało tysiącabytków, niektóre wprost unikalne, ponadto zarejestrowano 300 innych, znajdujących się w rękach prywatnych.

Już równo 15 lat stacja archeologiczna Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN prowadzi badania na wyspie Wolin. Znaleziono w tym czasie ponad 200 tys. szczerbów ceramiki, 150 tys. kości zwierzęcych, 15 tys. różnych przedmiotów, w kilkudziesięciu publikacjach naukowych opisano przeszłość tego miasta, które przed 18 wiekami liczyło ok. 16 tys. mieszkańców.

W referendum mieszkańcy Bał w Szwajcarii zobowiązali władze do zakupu dwóch obrazów Picassa, które chciał wykupić z rąk prywatnych pe-

Muzyka

wien milioner amerykański, Picasso w zamian przysłał Bałe cztery swoje inne obrazy, jeden z 1967 r., dwa z roku ub. oraz studium do słynnego obrazu „Panny z Avignon”.

Nagrodę muzyczną Związku Kompozytorów Polskich na rok 1968 otrzymał Jan Krenz za wybitną dalszalnosc dyrygencka, zasługi w propagowaniu muzyki polskiej oraz osiągnięcia kompozytorskie.

Krzysztof Penderecki pisał obecnie muzykę do dwu oper: „Król Ubu” i „Diabły z Loudun”. Ta ostatnia, oparta na książce Huxleya pod tym samym tytułem, zostanie wystawiona w czerwcu 1968 r. Ostatnio Penderecki wyjechał do Francji, gdzie pracuje nad muzyką do nowego filmu Alaina Resnais (twórca „Hiroshima, moja miłość”).

W Toruniu odbył się przegląd młodzieżowych zespołów jazzowych Polski północnej. Pierwsze i drugie miejsce zajęły zespoły bydgoskie — „Nietoperze” i „Szkwały”, trzecie i czwarte toruńskie — „Wielanie” i „Flisacy”.

Ponad 70 utworów nadesłano na konkurs na piosenkę, ogłoszony przez Zarząd Główny ZMW. Pierwszą nagrodę otrzymała piosenka „Stara kuchnia”, słowa Zb. Kaszku, muzyka Zb. Mart.

W roku bież. chór amatorski z woj. krakowskiego „Lutnia robotnicza” będzie obchodził 20-lecie istnienia. Na koncercie tego chóru dwukrotnie był obecny W. Lenia, a do dzisiaj śpiewa w nim J. Widliński, który występował w obu tych koncertach.

Opery w Poznaniu i w Łodzi wystawiały ostatnio Piotra Czajkowskiego „Dama pikawa”. Opera Poznańska ma w ten sposób w stałym repertuarze aż 33 opery, co w historii polskich teatrów operowych jest niezwykłym rekordem.

Jerry Semkow jako pierwszy polski dyrygent poprowadził operę w meiodlańskiej „La Scala”. Była to Muzorskiego „Berys Godunow”.

W starym zamku w miejscowości Yvelines pod Paryżem odnaleziono rękopis dwu walców Chopina — Ges-dur op. 78 nr. 1 i Walca z op. 18.

Staatsoper — berlińska Opera Państwowa — obchodziła 225 rocznicę powstania. Powstała ona jako pruska opera królewska. Budynek jej w czasie ostatniej wojny został zniszczony i odbudowany w 1955 r. z utrzymaniem dawnego stylu rokoka.

W Palermo ma być wystawiona opera, oparta na głośnej powieści Giuseppe Lampedusy „Lampart”. Muzykę skomponował Angelo Musco jr, libretto napisał Luigi Squarzina. W 1963 r. „Lampart” został przeniesiony na ekran przez L. Viscontiego.

Hamburski dziennik „Die Welt” przyniósł alarmistyczny artykuł zaczynający się od słów: „Republika Federalna pozwala swym orkiestrom umierać”. Orkiestra symfoniczna w Hanowerze została rozwiązana, w Trewircie zmniejszono skład do małej orkiestry operowej, w Koblencji obcięto muzykom gaże o 20 proc., w Detmold muzycy przez 2 miesiące zostali bezrobotnymi. W tym samym artykule przytacza się, że w latach 1945—46 liczbą orkiestr na terenie NRD zwiększyła się z 45 do 81 czyli o 80 proc.

Z okazji 90-lecia urodzin Brechta w lutym w Berlinie odbędzie się festiwal oper, które mają swoje źródło w utworach Brechta. Właśnie zakończył się tam festiwal oper Mozarta.

Różne

W archiwum dawnej kapituły w Kamieniu Pomorskim odnaleziono około 100 listów, pisanych w XVII wieku, m. in. przez króla Gustawa Adolfa. Odnaleziono również akt fundacji słynnych organów, ufundowanych 238 lat temu przez ostatniego księcia szczecińskiego Ernesta Bogusława de Croj. Organy mają 2236 piszczałek.

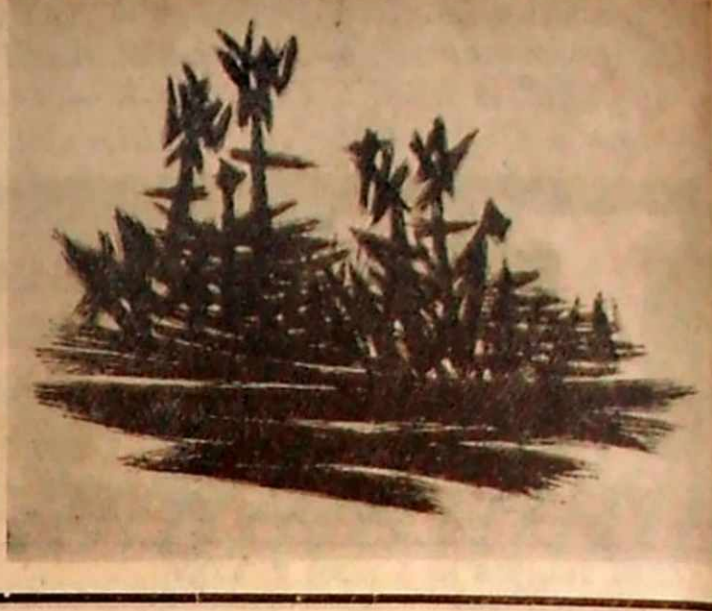
Węgierski Instytut Kultury w Warszawie będzie obchodził w roku bież. 20-lecie istnienia. Tylko w roku ub. Instytut zorganizował w Polsce 27 wystaw, 58 pokazów filmowych i 80 różnego rodzaju imprez.

Wydawnictwo MON wydało VI i ostatni tom „Historii wielkiej wojny narodowej Związku Radzieckiego” — całość w ciągu 3 lat obejmuje ponad 5 tys. stron i 123 mapy.

W Oakland w Kalifornii wśród 58 kobiet, aresztowanych za manifestację na rzecz zaprzestania agresji w Wietnamie, znalazła się znana piosenkarka Joan Baez. Za udział w manifestacji więźniów, domagających się dostarczenia im żywności, skazano ją na karę, w którym przez kilka dni otrzymywała tylko chleb i mleko.

W czasie pobytu w Australii „Mazowszanie” dało od końca sierpnia do 11 grudnia 102 koncerty, na których było prawie 150 tys. widzów. Potem, także w okresie świąt, zespół dał szereg koncertów w Zjednoczonej Republice Arabskiej. Dwie „Mazowszanki” wyszły za mąż w Australii.

SADEQUAIN, autor reproduktowanego rysunku, bardzo charakterystycznego dla twórczości artysty, która powstała na początku lat sześćdziesiątych, urodził się w 1930 r. w miejscowości Amroha w Indiach. Późniejsza biografia Sadequina zawiera jest jednak z Paki- stanem, gdzie z czasem osiągnął wysoka pozycję w hierarchii twórców tego kraju. Poważniejszy sukces uzyskał w 1960 r., kiedy to na wielkiej wystawie malarstwa pakistańskiego otrzymał pierwszą nagrodę. W 1962 r. przypa- do mu kolejne wysokie wyróżnienie — Medal Prezydenta. W 1964 r. został laureatem z Biennale w Paryżu, gdzie też przebywał jako stypendysta. Poza Paki- stanem miał wystawy indywidualne m. in. w Hawrze i w Galerie Lambert w Paryżu. W wielu gmachach publicz- nych w Karachi znajdują się jego freski. Zamieszczony rysunek pochodzi z okresu, kiedy artysta znajdował się pod silnym wpływem pejzażu okolic Karaczi. Sadequin posiadał tam niewielką pracownię, otoczoną lasem wielkich kaktusów. Ich formy, układające się w niezwykłą, rytmiczną i ekspresyjną architekturę, stały się budulcem jego wizji plastycznej, która zmierzając do abstrakcji nie przekracza jednak granicy znaku.



Józef Barecki

Notes „Kamery”

PO ROKU

JEST takie powiedzenie: z dużej chmury mały deszcz. Można je zastoso- wać do tego, co zdzi- rzyło się w polityce Niemiec zachodnich w przeciągu ostatniego roku. Chmura zebrała się duża. Ale nie spadł z niej nawet mały deszcz.

Rok temu, w grudniu 1966 roku, do władzy w Niemczech zachodnich doszła koalicja chadeckiej i socjaldemokracji. Za porozumieniem między CDU i SPD kryło się całkowite niemal bankructwo dotychczasowej polityki zagranicznej NRF. Wielka koalicja miała pchnąć ją na inne tory.

Na ślepych torze znalazły się sto- sunki NRF z krajami socjalistycznymi. Na Zachodzie rząd boński wzbudził nieufność Stanów Zjed- noczonych, Anglii i Francji swoim postępowaniem w sprawie NATO, EWG i negatywnym stosunkiem do układu o nierozprzestrzenianiu bro- ni jądrowej. Na Bliskim Wschodzie NRF zapłaciła wysokie koszty za uzbrajanie i popieranie Izraela. Nie udało się ostatnia próba ratowania nadszarpniętego prestiżu w Trze- cim Świecie. Podróż kanclerza Kiesingera po krajach Azji była inter- resująca z punktu widzenia tu- rystyki, niewiele jednak przyniosła korzyści polityce NRF. Premier Indii oficjalnie odcisnął się od boń- skich sugestii w sprawie izolacji NRD i zaprzeczył, jakoby przy- rzekła kanclerzowi Kiesingerowi, że nie uzna istnienia dwóch państw niemieckich.

bę dla przyszłości Europy. Ale „no- wa” polityka wschodnia rządu, choć zmontowana dla realizacji sta- rych, odwetowych celów, musiała wpłynąć na ożywienie tych głosów, które od dawna domagały się praw- didowego uregulowania stosunków NRF z krajami socjalistycznymi i włączenie się Bonn do wysiłków nad organizacją bezpieczeństwa europejskiego. W miarę, jak od- alniali się kulisy wschodniej gry rządu bońskiego, przybierały na si- le żądania uznania NRD, pogodzenia się z granicą na Odrze i Nysie, spojrzenia w twarz sytuacji, które- re nie zmienią najpóźniejsze ży- czenie Kiesingera, ani najuroczyst- sze zaklęcie Brandta. Rząd boński uznał, że tendencje te są groźniej- sze od niebezpieczeństwa neofa- szyzmu. Na zwolenników naprawdę nowej polityki wschodniej padła oficjalna klątwa, oznaczono ich piętnem „partii uznania”. Kilka lat temu pojęcie to wiązałyby się ze zdradą stanu, dziś rząd boński o- siągnął zupełnie odwrotny od za- mierzonego skutek: termin „partia uznania” nie tylko wodził do za- chodniemieckiego słownika poli- tycznego jako określenie istniejącego, pozytywnego stanowiska części opinii publicznej tego kraju, ale znalazł swój wyraz w utworzeniu nowej partii politycznej, nazwanej Lewicą Demokratyczną. W NRF powstała więc sytuacja, w której obok istniejącej już, ale skupiają- cej wąskie sfery intelektualistów Niemieckiej Unii Pokoju (DFU) roz- poczęła działalność partia, która chce mieć masowy charakter i do- stateczną siłę, aby doprowadzić do zmian w zachodniemieckiej poli- tyce zagranicznej i wewnętrznej.

Nowi przywódcy NRF nie szcze- dził wielkich słów, z huldem i trzaskiem proklamowali nową poli- tykę wschodnią, wszem i wobec oznajmiając, że wyciągną dłoń do krajów Europy Wschodniej w celu pojednania i zapomnienia. Elokwen- cji Kiesingera i Brandta nie towar- zyszyszy jednak czyny. Nowa poli- tyka wschodnia okazała się nową w słowach, pozostała jednak starą w swej treści. Rząd wielkiej koali- cji nie zmienił ani jednego punktu w dotychczasowym stanowisku NRF wobec granicy na Odrze i Ny- sie, wobec istnienia NRD i repre- zentacji Niemiec oraz wobec bez- pieczeństwa Europy. Zmienił natom- iast taktykę chęć izolować NRD w obozie socjalistycznym i wygrać przeciwko sobie poszczególne kra- je Europy Wschodniej.

Nie lepsza sytuacji istnieje w sa- mych Niemczech zachodnich. Od dłuższego czasu narastają oznaki kryzysu ekonomicznego, budzi nie- pokój rozszerzanie się wpływów neofaszystowskich i odwetowych. Kiedy wielka koalicja dochodziła przed rokiem do władzy, neofaszys- towka NPD miała za sobą start w kilku wyborach prowincjonalnych. Sukcesy, jakie wtedy odniosła zo- stały przez nowy rząd zlekceważo- ne i zakwalifikowane jako nie nie znaczące zdrażnienie na solidnym monolicie bońskiej demokracji.

Dziś nikt już nie mówi o zdrań- nięciach, bońską demokrację toczy bowiem groźna choroba. Po przeor- ganizowaniu swoich szeregów NPD poczęła zdobywać nowe sukcesy. W październiku br. w wyborach w Bremie potwierdziła, że liczba głosów oddanych na jej kandydatów wzrasta w sposób rokujący jej wielką przyszłość. Przewiduje się, że NPD może zdobyć w wyborach 1968 roku 50 mandatów i stać się trzecią partią NRF.

Nikt się nie dziwi, że taka „no- wa” polityka wschodnia poniosła fiasko. Widać to wyraźnie z per- spektywy roku. Rocznicę dojścia wielkiej koalicji do władzy wspo- mina się w Bonn w sposób przypo- minający stypę, a nie jubileusz.

Od nowego rządu oczekiwano śmiałego i pomyślnego rozwiązania starych problemów — pisał na mar- ginesie tej rocznicy „The Times”. — Jednakże, jak do tej pory, rząd doznał niepowodzeń, bądź zabrnął w ślepej uliczce, niemal we wszyst- kich dziedzinach.

Sukcesy NPD w połączeniu z po- tencjałem militarnym i ekonomicz- nym NRF stwarzają poważną groź-

Informacje, które zdobywał Philby, były ogromnie pożyteczne: dzięki tym wiadomościom udało się w czasie wojny unieszkodliwić wielu szpiegów niemieckich nasyłanych na terytorium ZSRR.

W czasie wojny Philby szybko a- wansował, już w 1941 r. był zastępcą kierownika jednego z wydziałów MI-6, czyli tajnej służby wywia- dowczej. Specjalizował się — wspomina — w działalności dywer- syjnej przeciwko krajom „komu- nistycznym”. Toteż nikt się nie dzi- wił, kiedy w 1944 r. został miano- wany w Intelligence Service kie- rownikiem wydziału do walki z ZSRR i międzynarodowym ruchem komunistycznym. Możecie sobie wyobrazić, jak cenne informacje miałem okazję wysyłać do Moskwy.

W 1947 r. Philby z ramienia In- telligence Service przebywał w Stambule. Stąd dostarczał Związko- wi Radzieckiemu wiele wiadomości o działalności szpiegowskiej prowa- dzonej w Turcji przeciwko ZSRR, Bułgarii i innym krajom socja- listycznym.

W latach 1949—1951 Philby stał na czele misji łącznikowej wywiadu angielskiego w Waszyngtonie. Zna- lazł się w samym centrum wywiadu amerykańskiego, nawiązując m. in. ścisły kontakt z Allanem Dullesem. Korespondenci „Izwestii” pod- kreślają, że właśnie w tym okresie (1951 r.) Philby'emu udało się po- kryżować planowaną przez wywiad amerykański operację mającą na celu zorganizowanie kontrowolu- cyjnego puczu w jednym z socja- listycznych krajów bałkańskich.

u sąsiadów

Życie zawikłane jak labirynt

W ZWIĄZKU z 50-leciem radzieckich organów bezpieczeństwa cała prasa moskiewska zamieściła materiały poświęcone działalności pracowników radzieckiego wywiadu i kontrowiadu. Na łamach „Izwestii” ukazała się relacja z czterogodzinnej rozmowy z asem wywiadu radzieckiego Haroldem (Kimem) Philby, który przez wiele lat na polecenie Komitetu Bezpie- czeństwa Państwowego przy Radzie Ministrów ZSRR zajmował czołowe stanowisko w angielskiej Intelligen- ce Service, a obecnie zamieszkał już na stałe w ZSRR.

Życie zawikłane jak labirynt — tak charakteryzują na wstępie dzie- łe Philby'ego korespondenci „Izwe- stii”.

Urodził się on w 1911 r. w Indiach, gdzie jego ojciec, wybitny polgłota, pracował w angielskiej administra-

cji kolonialnej. Następnie Philby przeniósł się do Londynu, tu wstąpił na uniwersytet w Cambridge. Obserwacja otaczających go zjawisk, nędzy i bezrobocia — a zwłaszcza podróż po Australii i Niem- czech, gdzie narastała już fala fa- szyzmu, stały się dla Philby'ego mo- mentem przełomowym. Zrozumiał — powiedział korespondentom „Izwestii” — po której stronie ba- rrykady jest moje miejsce. Gorącz- kowo szukałem sposobów, aby stać się pożytecznym dla wielkiego ruchu wspólczesności, któremu na imię komu- nizm. Ucieleśnieniem tych idea- łów jest Związek Radziecki, jego bohaterki naród, który zapoczątko- wał budowę nowego świata. A for- me walki znalazłem w swej pracy w służbie wywiadu radzieckiego. U- wazałem i nadal uważam, że działal- nością swoą służętem również moje- mu narodowi angielskiemu.

Philby opowiedział koresponden- tom „Izwestii”, w jaki sposób do- stał się do Intelligence Service. Po ukończeniu Cambridge, już jako działacz wywiadu radzieckiego, przez jakiś czas pracował w jednym z dzienników londyńskich. W 1937 r. został wysłany jako korespondent wojenny „Timesa” do Hiszpanii. Tu wypowiedział się publicznie jako gorący zwolennik Franco, w takim samym duchu pisał korespondencje dla swego pisma. Sam Franco przy- jął mu do piersi „Czerwoną Krzyżę Wojenny”. Ten krzyż odegrał zresz- tą swoją rolę, gdy kilka lat póź- niej — na polecenie wywiadu ra- dzieckiego — zaczął ubiegać się o przyjęcie do Intelligence Service.

Bedziesz gwiazdą — mówi słynny re- żyser włoski Alberto Lattuada 22-letniej mieszkance Sztokholmu Ewie Aulin, która zaangażowała do głównej roli w filmie „Giovanni na Sycylii”.

„Dziadek śmierdzi“ ...

Czesław Klepacki

NIKT zapewne dziś nie pamięta dokładnie, kiedy to się zaczęło. Wiadomo tylko, że w pierwszych latach po wyzwoleniu. Mówiliśmy wówczas: „tak trzeba...”, „miasta czekają...”, „praca czeka“ — przemysł, huty i fabryki, ZOR-owskie mieszkaniowe i robotnicze hotele.

I wtedy ruszyła ta fala. Szturmowała miasta — przez fabryczne bramy, przez szkoły i uniwersytety. Sielska, pachnąca sianem, kolorowa domowymi landszafkami wieś przylżyła się nagle, ukazując nową twarz. Twarz wymagającą i dynamiczną.

Dziś socjolog przykłada do tych zjawisk swoją miarę. Bada „procesy przemian”, „wpływ urbanizacji”, „życiowe drogi i aspiracje”. Socjolog bada te zjawiska w ich powszechności, doszukuje się prawidłowości procesów. A dziennikarz?

Dziennikarz może co najwyżej spojrzeć na sprawy jednostkowe. Ale może z jednym, dwoma lub trzema ludźmi przy kawie, przy warsztacie pracy porozmawiać dłużej, sięgnąć głębiej. Legitymacją, która do tego uprawnia i skłania jest prosty fakt, że przecież ta wielka fala skoro raz ruszyła, skoro wskazano jej kierunek, płynię dalej. Inne nieco są jej koryta, dawne żłobiny, kierunek — z chaty o glinianej polepie wprost do wielkiej hali fabrycznej — nie jest typowy. Nadal jednak ta wielka fala atakuje szkoły i uniwersytety. Dziś mało kto się temu dziwi. Zwykle sprawy — zwykłe życie. Ale przecież — jak uczy prawo fizyki i prawo społecznego rozwoju — nie może to być jedynie ruch jednokierunkowy. Wielka peregrynacja ze wsi do miast powinna być rekompensowana. Właśnie... czym?

I to jest trop, którym poszedłem...

— A wie pan — jestem zaskoczony. Ze też kogós może to obchodzić? Widocznie to ważne, ale ja... ja... nigdy się nad tym poważnie nie zastanawiałem. Mój stosunek do rodzinnej wsi? Jakby to powiedzieć: teraz czy lat temu dziesięć?

— Teraz, właśnie teraz, kiedy jest pan cenionym inżynierem dużego zakładu, po dziesięciu latach mozolnej diubaniny w znacznym technikum i na politechnice, kiedy popijamy kawę i ten koniak — jak pan powiedział — własnoręcznie z Francji przywieziony. Teraz... — dopowiadam...

— W ubiegłe wakacje pojechałem z żoną i dziećmi do moich rodziców, na wieś. Byli żywi. Witamy się na polu. Ojciec wzięł na ręce wnuczka, 5-letniego Jurka.

— Tato, ja nie chcę — dziadek śmierdzi...

Dziadek nie powiedział nic. Nikt

nie powiedział, ale mnie przez cały miesiąc brzmiały w uszach te słowa. Zaczęłam opowiadać panu to wszystko od końca, od moich dzieci. Ale to ważne. Dopiero przez nie mogę określić siebie. Przez to, co chcę im w tej sprawie przekazać. Ale jak to przekazać, skoro ja sam dałem się zaskoczyć, skoro nie mam określonego stosunku. Oczywiście — na wieś jeździć. Trzy, cztery razy do roku plus na tydzień — dwa w wakacje. Teraz, kiedy mam ten samochód... Jadąc tam, czuję się jakby młodszy, swobodniejszy. Nie wiem, czy pan też — kłopoty, te w pracy, w domu — stają się też mniejsze. Ale może to tak każdy... Chyba nie o to chodzi. Wiem... To przecież nie to, że 50 procent murowanych domów, bita droga, światło i telewizor w szkole, okazja do wypicia wódki w gronie dawnych kolegów. To chyba — przede wszystkim — ci, którzy zostali. Strasznie pracują. Czy pan wie, jak oni pracują? Do 16 roku życia byłem na wsi, coś niecoś na ten temat wiem. I co roku pracują więcej, szybciej, ale nie zawsze sprawniej... Ileż to ja się nadenerwuję patrząc na to, co my w mieście nazywamy brakiem organizacji... Czasami wydaję mi się jednak, że gdybym pochodził z miasta, wychował się w dobrych warunkach, nie zdobyłbym nawet i połowy tego, co mam. A może to i nieprawda?

Szczerze mówiąc, nie lubię jednak tam jeździć. To brzmi chyba śmiesznie, ale rozsądek każe pojechać, odwiedzić. Chcę, żeby dzieci... Niech się tytają w błocie, niech wiedzą, co to deszcz i zimno, niech poznają... Czy pan wie, że każdy taki wyjazd to ogromne kłopoty? Z każdej wycieczki przywożę mnóstwo spraw do załatwienia. A przede wszystkim szkoły. Ulokowałem chyba z pięciu w technikach, dwóch na studiach. Satisfakcja? Chyba nie. Przede wszystkim problem: czy tak być powinno? Lewymi chodami, przy pomocy znajomości, stosunków? A ci inni, którzy nie mają wujka ani kuzyna inżynierem, dyrektorem? A kto mnie pomagał? Myślę tak człowiek, ale odmówić nie sposób. I dlatego wszystko to takie trudne. Ale niech pan sam — pan przecież też ze wsi — niech pan powie: chyba najważniejsze te dzieci. Zeby one znały choć trochę ten pot, mękę, żeby — jak to się mówi — odróżniały grabie od koguta...

— Nie, nie w kawiarni, lepiej tu u nas, w zakładzie.

— A co pana interesuje?

— Co takiego? Zaraz, zaraz... dlaczego ja?

Po drugiej stronie linii zalega podejrzana cisza. Mój rozmówca z kimś pertraktował, potem zaś głosem, w którym było tyleż zdziwienia, co i złości: dobrze...

Nawet później, kiedy wciągnięty za stolik, w wąskie obramowania regałów, w atmosferze naukowej stęchliny zakładu historii, nawet wtedy tej złości nie brakło.

— Przemyslałem trochę tę sprawę. Wie pan, do czego doszedłem? Czy my przypadkiem nie stwarzamy sztucznego problemu? Dlaczego pan pyta akurat o rodzinną wieś? Przecież pochodzenie, miejsce urodzenia nie ma dziś żadnego znaczenia. Dlaczego na przykład nie zapytać o mój stosunek do księżycy, cybernetyki czy... wędkarstwa? Przemierzam wielkimi krokami wąski przesmyk między półkami pękatymi w kałki, co tam grzebie na półkach.

— Właśnie. Czytał pan? Książka Bojki. Liczy sobie już sporo lat. Ta jego słynna teza o dwóch duszach w chłopie ma ciele. A zwłaszcza o tej — pańszczyźnianej. Czy zadając takie pytania nie ujawniamy jakiegoś skrytego, głęboko tkwiącego kompleksu? To trzeba na rozsądek, trzeba... Mam kolegów i przyjaciół, którzy ze wsi nie mają nic wspólnego. Czy pan wie, za czym oni teraz się uganiają? Jeden powiesił na ścianie dwa skrzyżowane cepy, drugi ściga moździerze, kawałki soch, stare lampy i latarnie. Cieszą się i są dumni. A mnie to złości. Patrzę na taki bijak od cepa, jego gładką, wypolerowaną powierzchnię i myślę: ile tu wsiakło potu, ile dni, tygodni i lat, ile pokoleń kręciło nim nad głową? Czy takie rzeczy można, czy godzi się wyrwać z tła, z atmosfery i warunków, do których zostały stworzone? Czy nie jest to naigrzywanie się z ludzi, z ich mordęg? Prymityw... Prymityw urzeka. Ciekawe, czy taki facet powiesiłby w domu starą elektryczną dojarkę, albo oponę od ciągnika? Toż to też ze wsi...

A potem, kiedy już pierwsza fala złości minęła, młody doktor historii mówił spokojnie, jakby z zażenowaniem.

— Dwa lata temu dostałem zaproszenie z rodzinnej osady, niejako urzędowe. Z okazji 600-lecia jej istnienia. Jubili był, jak się patrzy. Mnie, historykowi, powierzono opracowanie i wygłoszenie referatu. Zobolem. Ale kiedy przyszło do wygłoszenia patrzyłem z mównicy na swoich kolegów z podstawowej i średniej szkoły, na znajomych i krewnych. Dawno już nie byłem tak stremwiany. Przecież ich nie historia interesowała. Byli ciekawi, co też za naukowiec z tego Mietka? W pewnym momencie chciałem odłożyć tekst i mówić tak, od siebie. Nawet nie bardzo wiedziałem, o czym. Trzeba było dopiero towarzyskiego spotkania w gronie węższym, aby pekiły lody i uprzedzenia. Wtedy zaświtała nam myśl zorganizowania czegeń w rodzaju towarzystwa miłośników naszej osady. Zapaliłem się do tego. Był na-

ma zupełnie znaczenia i tylko wyjątkowo ignoranci może sobie pozwolić na postawienie tego rodzaju zarzutów inscenizatorom teatrów poezji.

W dyskusji, zorganizowanej podczas festiwalu przez Centralną Poradnię Artystyczną Ruchu Amatorskiego, jeden z doświadczonych reżyserów teatrów poezji ogłosił, wśród aplauzu znakomitej większości zebranych, że w teatrze poezji twórcą jest inscenizator, a rola poetów sprowadza się li tylko do zadań dostarczających surowca poetyckiego!

Niefrankowicie wyrwany więc kawałek z poezji Puszkina, Majakowskiego, Broniewskiego, Asiejewa, Okudźawy, ma zupełnie znaczenia i tylko wyjątkowo ignoranci może sobie pozwolić na postawienie tego rodzaju zarzutów inscenizatorom teatrów poezji.

W dyskusji, zorganizowanej podczas festiwalu przez Centralną Poradnię Artystyczną Ruchu Amatorskiego, jeden z doświadczonych reżyserów teatrów poezji ogłosił, wśród aplauzu znakomitej większości zebranych, że w teatrze poezji twórcą jest inscenizator, a rola poetów sprowadza się li tylko do zadań dostarczających surowca poetyckiego!

Niefrankowicie wyrwany więc kawałek z poezji Puszkina, Majakowskiego, Broniewskiego, Asiejewa, Okudźawy, ma zupełnie znaczenia i tylko wyjątkowo ignoranci może sobie pozwolić na postawienie tego rodzaju zarzutów inscenizatorom teatrów poezji.

ROZKŁAD		PRZYJAZDOW	
ODJAZDOW		GODZINY	
GODZINY	LINIA PRZEZ	GODZINY	
5:27	ANAWICZKI	5:14	
5:37	BARANÓW	5:24	
5:47	BUCZYNICA	5:34	
5:57	CHOSZCZÓW	5:44	
6:07	DOBŁIN	5:54	
6:17	GOLAP	6:04	
6:27	JARDWIEC	6:14	
6:37	KAZIMIERZ	6:24	
6:47	KONSKOWOLA	6:34	
6:57	KOTLINY	6:44	
7:07	KOZIENICE	6:54	
7:17	KRASIENIM	7:04	
7:27	KRAŚNIK	7:14	
7:37	KURÓW	7:24	
7:47	KURÓW	7:34	
7:57	LUBLIN	7:44	
8:07	LUBLIN	7:54	
8:17	LUBLIN	8:04	
8:27	LUBLIN	8:14	
8:37	LUBLIN	8:24	
8:47	LUBLIN	8:34	
8:57	LUBLIN	8:44	
9:07	LUBLIN	8:54	
9:17	LUBLIN	9:04	
9:27	LUBLIN	9:14	
9:37	LUBLIN	9:24	
9:47	LUBLIN	9:34	
9:57	LUBLIN	9:44	
10:07	LUBLIN	9:54	
10:17	LUBLIN	10:04	
10:27	LUBLIN	10:14	
10:37	LUBLIN	10:24	
10:47	LUBLIN	10:34	
10:57	LUBLIN	10:44	
11:07	LUBLIN	10:54	
11:17	LUBLIN	11:04	
11:27	LUBLIN	11:14	
11:37	LUBLIN	11:24	
11:47	LUBLIN	11:34	
11:57	LUBLIN	11:44	
12:07	LUBLIN	11:54	
12:17	LUBLIN	12:04	
12:27	LUBLIN	12:14	
12:37	LUBLIN	12:24	
12:47	LUBLIN	12:34	
12:57	LUBLIN	12:44	
13:07	LUBLIN	12:54	
13:17	LUBLIN	13:04	
13:27	LUBLIN	13:14	
13:37	LUBLIN	13:24	
13:47	LUBLIN	13:34	
13:57	LUBLIN	13:44	
14:07	LUBLIN	13:54	
14:17	LUBLIN	14:04	
14:27	LUBLIN	14:14	
14:37	LUBLIN	14:24	
14:47	LUBLIN	14:34	
14:57	LUBLIN	14:44	
15:07	LUBLIN	14:54	
15:17	LUBLIN	15:04	
15:27	LUBLIN	15:14	
15:37	LUBLIN	15:24	
15:47	LUBLIN	15:34	
15:57	LUBLIN	15:44	
16:07	LUBLIN	15:54	
16:17	LUBLIN	16:04	
16:27	LUBLIN	16:14	
16:37	LUBLIN	16:24	
16:47	LUBLIN	16:34	
16:57	LUBLIN	16:44	
17:07	LUBLIN	16:54	
17:17	LUBLIN	17:04	
17:27	LUBLIN	17:14	
17:37	LUBLIN	17:24	
17:47	LUBLIN	17:34	
17:57	LUBLIN	17:44	
18:07	LUBLIN	17:54	
18:17	LUBLIN	18:04	
18:27	LUBLIN	18:14	
18:37	LUBLIN	18:24	
18:47	LUBLIN	18:34	
18:57	LUBLIN	18:44	
19:07	LUBLIN	18:54	
19:17	LUBLIN	19:04	
19:27	LUBLIN	19:14	
19:37	LUBLIN	19:24	
19:47	LUBLIN	19:34	
19:57	LUBLIN	19:44	
20:07	LUBLIN	19:54	
20:17	LUBLIN	20:04	
20:27	LUBLIN	20:14	
20:37	LUBLIN	20:24	
20:47	LUBLIN	20:34	
20:57	LUBLIN	20:44	
21:07	LUBLIN	20:54	
21:17	LUBLIN	21:04	
21:27	LUBLIN	21:14	
21:37	LUBLIN	21:24	
21:47	LUBLIN	21:34	
21:57	LUBLIN	21:44	
22:07	LUBLIN	21:54	
22:17	LUBLIN	22:04	
22:27	LUBLIN	22:14	
22:37	LUBLIN	22:24	
22:47	LUBLIN	22:34	
22:57	LUBLIN	22:44	
23:07	LUBLIN	22:54	
23:17	LUBLIN	23:04	
23:27	LUBLIN	23:14	
23:37	LUBLIN	23:24	
23:47	LUBLIN	23:34	
23:57	LUBLIN	23:44	
24:07	LUBLIN	23:54	
24:17	LUBLIN	24:04	
24:27	LUBLIN	24:14	
24:37	LUBLIN	24:24	
24:47	LUBLIN	24:34	
24:57	LUBLIN	24:44	
25:07	LUBLIN	24:54	
25:17	LUBLIN	25:04	
25:27	LUBLIN	25:14	
25:37	LUBLIN	25:24	
25:47	LUBLIN	25:34	
25:57	LUBLIN	25:44	
26:07	LUBLIN	25:54	
26:17	LUBLIN	26:04	
26:27	LUBLIN	26:14	
26:37	LUBLIN	26:24	
26:47	LUBLIN	26:34	
26:57	LUBLIN	26:44	
27:07	LUBLIN	26:54	
27:17	LUBLIN	27:04	
27:27	LUBLIN	27:14	
27:37	LUBLIN	27:24	
27:47	LUBLIN	27:34	
27:57	LUBLIN	27:44	
28:07	LUBLIN	27:54	
28:17	LUBLIN	28:04	
28:27	LUBLIN	28:14	
28:37	LUBLIN	28:24	
28:47	LUBLIN	28:34	
28:57	LUBLIN	28:44	
29:07	LUBLIN	28:54	
29:17	LUBLIN	29:04	
29:27	LUBLIN	29:14	
29:37	LUBLIN	29:24	
29:47	LUBLIN	29:34	
29:57	LUBLIN	29:44	
30:07	LUBLIN	29:54	
30:17	LUBLIN	30:04	
30:27	LUBLIN	30:14	
30:37	LUBLIN	30:24	
30:47	LUBLIN	30:34	
30:57	LUBLIN	30:44	
31:07	LUBLIN	30:54	
31:17	LUBLIN	31:04	
31:27	LUBLIN	31:14	
31:37	LUBLIN	31:24	
31:47	LUBLIN	31:34	
31:57	LUBLIN	31:44	
32:07	LUBLIN	31:54	
32:17	LUBLIN	32:04	
32:27	LUBLIN	32:14	
32:37	LUBLIN	32:24	
32:47	LUBLIN	32:34	
32:57	LUBLIN	32:44	
33:07	LUBLIN	32:54	
33:17	LUBLIN	33:04	
33:27	LUBLIN	33:14	
33:37	LUBLIN	33:24	
33:47	LUBLIN	33:34	
33:57	LUBLIN	33:44	
34:07	LUBLIN	33:54	
34:17	LUBLIN	34:04	
34:27	LUBLIN	34:14	
34:37	LUBLIN	34:24	
34:47	LUBLIN	34:34	
34:57	LUBLIN	34:44	
35:07	LUBLIN	34:54	
35:17	LUBLIN	35:04	
35:27	LUBLIN	35:14	
35:37	LUBLIN	35:24	
35:47	LUBLIN	35:34	
35:57	LUBLIN	35:44	
36:07	LUBLIN	35:54	
36:17	LUBLIN	36:04	
36:27	LUBLIN	36:14	
36:37	LUBLIN	36:24	
36:47	LUBLIN	36:34	
36:57	LUBLIN	36:44	
37:07	LUBLIN	36:54	
37:17	LUBLIN	37:04	
37:27	LUBLIN	37:14	
37:37	LUBLIN	37:24	
37:47	LUBLIN	37:34	
37:57	LUBLIN	37:44	
38:07	LUBLIN	37:54	
38:17	LUBLIN	38:04	
38:27	LUBLIN	38:14	
38:37	LUBLIN	38:24	
38:47	LUBLIN	38:34	
38:57	LUBLIN	38:44	
39:07	LUBLIN	38:54	
39:17	LUBLIN	39:04	
39:27	LUBLIN	39:14	
39:37	LUBLIN	39:24	
39:47	L		

Jakże mało znał jeszcze wtedy skomplikowane sekrety ówczesnej sztuki europejskiej! W gruncie rzeczy my, z wczesnego XX-lecia międzywojennego, wszystko niemal co tworzyliśmy w owych czasach, musieliśmy odkrywać sami. Słusznie zwraca na to uwagę H. Zaworska w swej książce pt.: „O nową sztukę”, stwierdzając, że w owym wczesnym dwudziestolecu nawet nazwiska niektórych współczesnych twórców doktryn artystycznych nie były częstokroć znane w polskich środowiskach kulturalnych. Zadanych przekładów i rzeczowych informacji (...) Artykuły o futurystach, tłumaczenie kilku dramatów Marinettiego ukazują się dopiero w drugim ćwierćwieczu, a więc wtedy, gdy futurizm polski został już oficjalnie zamknięty i zbilansowany (...)

Musiła — i posiadała, wbrew informacji a raczej dezinformacji niektórych krytyków i poetów, których sądy wynikały (w najlepszym razie) z pomyłek chronologicznych i perspektywicznych. Czyż uświadamiali sobie np., że słynne manifesty surrealizmu A. Bretona, z ich postulatem podświadomości jako najważniejszego źródła twórczego, zostały ogłoszone dopiero w r. 1924 — a więc wówczas, gdy niżej podpisany w tym samym roku w wierszu swym „Czcieliwemu maszyn” pisał już o klasycyzmie podświadomości?

Żeby zresztą chodziło tu wyłącznie o znajomość awangardy europejskiej... Niestety, w owych czasach podstawowe dzieła, które miały z czasem dokonać przewrotu w świadomości nie tylko artystycznej, ale i filozoficznej nadchodzących pokoleń, były w najlepszym razie znane z tytułów lub z opinii krytycznych. Nie jest to przesadą.

Nie zapomnijmy, że dwa podstawowe dzieła, które miały przeobrazić myśl nie tylko Europy, ale świata całego, powstały dopiero w r. 1916; mam na myśli „Podstawy ogólnej teorii względności” Einsteina i „Wstęp do psychoanalizy” Freuda. Mechanika kwantowa była jeszcze wówczas muzyką przyszłości. Dwa inne dzieła, które stały się fundamentami nowej prozy i poezji powstały w r. 1922: mówię o „Ulyssesie” Joyce’a i „Ziemii jałowej” Eliota. To prawda, że o 13 lat wcześniej wzniosł już sztandar nowej estetyki Marinetti we Włoszech, a w kilka lat później uczynili to Apollinaire na czele awangardy francuskiej i Majakowski na czele futurizmu rosyjskiego — lecz Polsce ówczesnej twórcy ci znani byli z fragmentarycznych utworów — i poza jedną „Pieśnią o głodzie” Jasińskiego, nie da się wskazać na żadne bodaj dzieło naszej wczesnej awangardy, które by nosiło ślady jakiegokolwiek pokrewieństwa z tą twórczością. I dopiero w roku wyjazdu Jasińskiego do Paryża — w r. 1925 — rozpoczyna się wielka ofensywa powieści amerykańskiej; w tym bowiem właśnie roku powstają dwie powieści dwóch wielkich pisarzy atlantyckich: „Manhattan Transfer” Dos Passosa i „Tragedia amerykańska” Dreisera.

Realizm tych powieści, na równi z realizmem powieści rosyjskiej, niewątpliwie miał z czasem oddać swe piętno na prozie Jasińskiego, tak jak oddał ją na całej prozie europejskiej. Wówczas jednak poeta nie zarzucał jeszcze swych poszukiwań artystyczno-formalnych. Poszukiwania przezeń „kamienia filozoficznego” formy ściśle połączone były — jak w poemacie o Szeli — z poszukiwaniem wielkiej metafory, która porwałaby mu ukazać czytelnikowi w sposób syntetyczny istotę walk rozgrywających się w Polsce w pamiętnym roku 1846.

Na razie jednak zatrzymajmy się nad poruszoną tu sprawą — znalezienia się poety „na paryskim bruku”.

Gdy tuś rozmyślałam dziś nad tym, co musiał przeżywać, znalazły się ze swą pierwszą żoną, Karą, w wielkiej stolicy i zdany w dużej mierze na własne siły (częściowo bowiem przyszła mu z pomocą rodzina — przychodził mi na myśl romantyczna historia naiwnego młodzieńca z francuskiej prowincji, który znalazł się w tymże Paryżu o sto lat wcześniej; balzakowska powieść o Lucjanie de Rubempré. Powieść nosi tytuł „Stracone złudzenie” i kończy się tragicznie dla jej bohatera. Należy sądzić, że doświadczeń o sto lat od balzakowskiego bohatera Jasiński przyjechał do Paryża — bez złudzeń. Nie miał też nic do stracenia — a wszystko do zdobycia. Dlatego też na tym etapie swego tragicznego życia — zwyciężył.

Jak już mówiłem, nie traktował swego pobytu jako stałej emigracji.

Jako wygnania — raczej jako okres niezbędnych studiów w nie znanym mu dotąd laboratorium cywilizacji światowej. Nie trzeba bowiem zapominać, że Jasiński znalazł się w Paryżu po raz pierwszy w życiu.

Bardzo plastycznie opisuje ten pierwszy okres jego pobytu w Paryżu Stanisław Bruca, który spędził z nim tam wówczas dość wiele czasu. Poeta naszej „Nowej Sztuki”, autor zbioru poetyckiego „Bitwa”, który ukazał się we wczesnym dwudziestolecu, był nie tylko przyjacielem Jasińskiego, ale również — jak to wynika z jego wspomnień — brał częstokroć udział w naradach nad „Słowem o Jakubie Szeli” podczas procesu tworzenia poematu przez Jasińskiego. Oto opis jego spotkania z poetą, drukowany swego czasu w „Osnowie”:

W grudniu 1925 r. odnalazłem Jasińskiego w dzielnicy... najniższej... na dołnym Montmartre, w Impasse Poissonière, w zaułku włączonym w blok czynszowych domów na skrzyżowaniu bulwarów Rochechouart i Barbès. A więc w dzielnicy robotniczej, ludnej i hałaśliwej, pełnej tanich baraków, jarmarcznych straganów, bistro, warsztatów mechanicznych rozpartych na całej szerokości chodnika i rozbrzmiewających łoskotem od rana do nocy (...)

(...) Zastąpiłem Jasińskiego pogrzezonego w pracy. Pracy podzielonej na dwa ściśle rozgraniczone rejestry. Godziny od dziecięcej rano do obiadu były poświęcone Szeli (którego wówczas nie miał jeszcze tytułu); po krótkiej poobiedniej sijście następo-

lem się od dawna, nie znajdując doń odpowiedniego „podejścia”. (Mowa o poemacie Szeli. Przyp. A. S.)

(...) Siedzę już z górą rok kamieniem w Paryżu. Zdażyłem się z nim zżyć i przyzwyczaić do niego naprawo i trudno by mi było się z nim rozstać. Z drugiej zaś strony czuję już wyraźne wzdęcie kupra (jak mawia Boy). Jak żyję, jeszcze tak długo na jednym miejscu bez wyjazdu nie siedziałem. Chętnie przewietrzyłbym się gdzieś dalej w świat... Polski nabrałem w siebie przez te długie, spędzone w niej lata tak wiele, że „nostalgii” żadnej za ojczyznę na razie nie odczuwam. Może to kiedyś przyjdzie z czasem. Na razie zbyt jeszcze lakomy jestem Europy i jej okolic, aby mnie ciągnęło do rodzinnego podwórka. Jakkolwiek bądź, pozostać chcę w Paryżu, póki nie wyeksploatuję zeń tego wszystkiego, co mi dać może a jest tego tak jeszcze wiele, że na rok co najmniej starczy. Potem, gdy skonstatuję, że od Francuzów nie mam się czego uczyć — chętnie pojedchalbym gdzieś dalej. Wojażowanie jest chorobą, która zawsze trawia mnie i trawi i od której z pewnością umrę.

Ile mimowolnego tragizmu jest w tych słowach poety: wojażowanie jest chorobą, która zawsze trawia mnie i trawi i od której z pewnością umrę... Gdyby mógł przebić wzrokiem mroki przyszłości i zobaczyć, co czeka go za lat dziesięć — kto wie, może istotnie po owym zapowiadającym przez siebie roku, a później dwóch latach, wróciłby do kraju?... A może jednak jego tak

pierwszym dziennikarzem na świecie, który napisał wielki reportaż o Polsce powojennej („Mission en Pologne” w „Lettres Françaises” w r. 1945) i wreszcie — co jest już raczej ciekawostką — że pomagał NKrumahowi przy opracowaniu literackim jego książki o Ghanie.

Pytam Priacela, w jakich okolicznościach poznał Jasińskiego.

Był to okres, gdy pisarz natychmiast po ukończeniu swej słynnej powieści o Paryżu przystąpił do zorganizowania niewielkiego teatru dla emigracji polskiej, ściślej mówiąc, dla robotników polskich. Priaceł, który był nie tylko sekretarzem, ale i krytykiem teatralnym „Monde’u”, zainteresował się jego planami. Nie bardzo wierzył w możliwość ich realizacji, lecz był wówczas w wieku Jasińskiego, a więc w wieku, kiedy na ogół nie listnieją dla człowieka rzeczy niemożliwe do spełnienia. Poza tym bardzo pościągala go wspólnota ideologiczna: sam Priaceł, podobnie jak ówczesny redaktor naczelny „Monde’u” Habaru, już w 1923—24 r. należał do „Adea”, co jest skrótem słów „Alliance defensive des étudiants antifascistes”, zaś pismo, którego był sekretarzem, reprezentowało ogniwo międzynarodowego porozumienia skrajnej lewicy.

Przez Priacela Jasiński poznał szereg ówczesnych wybitnych indywidualności Paryża, m. in. Vaillant-Couturiera, z którym miał w r. 1931 odbyć w Związku Radzieckim wspólną podróż do Tadżykistanu. Najważniejsze jednak, że poznał dzięki niemu Barbusse’a który przy-

genckiej”, która nie bardzo go rozumiwała, i taki sam do Francuzów, których — jak sądzę — on z kolei nie bardzo dobrze rozumiał. Wynikło stąd jak gdyby uczucie niepewności siebie, a może nawet pewnego upodlenia psychicznego i moralnego w otoczeniu francuskim (Priaceł określa to słowami „la détresse psychique et morale”). Oczywiście, zupełnie inaczej musiał się czuć wśród swych proletariackich rodaków; przecież dla nich tworzył swój teatr.

Priaceł przerywa, milknie — i nagle kończy dość nieoczekiwanie:

— Szczerze mówiąc, odczuwało się w nim że maskowana rozpacz człowieka, który ma ciągłą świadomość swej obcości i z trudem walczy z piętrzącymi się wokół niego trudnościami. Tym znów, co w nim pościągalo, była młodość i wyidealizowana, jak pręczył się swojemu losowi. Z pewnością też ta wyidealizowana i pewnego rodzaju zderzenie towarzyszyło mu w wyidealizowaniu kazali Barbusse’owi pomóc mu — nie tylko gorące polecenie Jasińskiego przez Tomasza Dąbala... Jak panu wiadomo, Barbusse był nie tylko autorem „Ognia”, ale i „Chrystusa”, i cechowała go niezwykła dobroć i życzliwość dla ludzi... Lecz Jasiński śle mu się za odpartą.

(Była to aluzja do wystąpienia Jasińskiego w latach późniejszych, gdy znajdował się już w Rosji, przeciwko Barbusse’owi na Międzynarodowym Zjeździe Pisarzy Rewolucyjnych w Charkowie.)

Jak z tego widać, portret Jasińskiego odmalowany przez Priacela równie mało przypomina portret Bruca, jak i ów nieco imaginacyjny autoportret Jasińskiego, jaki można sobie odtworzyć na podstawie jego listów. Wydaje mi się, że portret namalowany ręką Francuza jest psychologicznie bardziej obiektywny, choć miejscami okrutny. W każdym razie jest on niezbędnym dopełnieniem całości, nadaje sylwetce poety plastyki tym większej, im bardziej odbiega od dwóch poprzednich charakterystyk.

Oczywiście, nie należy tu zapominać o pewnej poprawce związanej z czasem, w jakim były szkicowane owe portrety literackie. St. Bruca spotkał się z Jasińskim w r. 1925, do połowy mniej więcej 1928 roku. Listy poety do przyjaciół w kraju były przezeń pisane w końcu tegoż roku. Priaceł widywał się z nim w latach 1927—28. Dwa lata dzieliło więc „portret” Bruca od wspomnienia francuskiego pisarza. Jakże wiele oznaczał ten okres czasu w życiu autora „Słowa o Jakubie Szeli”!... Jak wiele burz miało się w tym czasie! W każdym razie jedno okazało się złudą: spokojny pobyt w Paryżu. Gdy widział się z Priacelem, mieszkał już w skromnym hotelu, gdyż nie było go stać na dotychczasowy „komfort”.

Hotel nazywał się — jak gdyby dla stworzenia bardziej groteskowej sytuacji — „Lux”. Henryk Gotlib, dawny formista krakowski, który nie tak dawno zmarł w Londynie, a który pomagał Jasińskiemu przy tworzeniu przezeń jego robotniczego teatru, opowiada:

— Któregoś dnia zaprosili mnie Jasiński na obiad. Mieszkał na przedmieściu Paryża, w typowym trzeciorzędowym hotelu, który wystarzał zniecałką swą odrapaną fasadą na pustym placu zarzuconym gruzem z okolicznych fabryk, okalających go wieńcem smętnie dymlących kominów (...). Jasiński żył w tym czasie niewątpliwie w warunkach niedalekich od nędzy.

A więc, Stefan Priaceł dobrze odgadł sytuację, w jakiej znajdował się wówczas nasz poeta.

Przypomina mi się w tej chwili ciekawa nowela André Maurois pn. „Glacé à trois faces” — historia trzech zupełnie odmiennych i sprzecznych ujęć człowieka, który zginął w katastrofie. I kiedy rozmyślałam o dziwnych losach Brunona Jasińskiego — człowieka, który również stracił życie w wielkiej katastrofie — ożywają w mej pamięci te trzy jego portrety: pogodnego i rozsądnego artysty, sarkastycznego pustelnika i wreszcie — zropaczono „człowieka, który z trudem walczy z piętrzącymi się wokół niego trudnościami”. Ten ostatni portret jest chyba nie tylko najbardziej złożony, ale budzi również w stosunku do autora „Szeli” uczucie głębokiego współczucia. Nie ma w nim bowiem ani mimowolnej próby idealizacji naszego bohatera, ani romantycznego pragnienia ukazania siebie przez Jasińskiego jako jeszcze jednej wersji nie zrozumianego — z głęboką zadumą zatrzymując się nad wspomnieniem Stefana Priacela, człowieka, który mi niedługo rzekł: Jestem świadkiem — życie moje jest świadectwem.

„dzieciła wieku”. I dlatego, gdy szukam takich „dokumentów ludzkich”, które byłyby w stanie jak najbardziej zbliżyć owego pełnego sprzeczności pisarza do czytelnika

wały „robotki zarobkowe”: listy z Paryża, felietony i fraszki, w które Jasiński regularnie zasilał tuowski „Wiek Nowy”; wieczory, z wyjątkiem tych nielicznych, które spędzało się poza domem, wypełniona korespondencją bieżącą oraz lektura pism i książek, polskich i francuskich.

W Paryżu Jasiński zadziwił mnie swoim domatorskim trybem życia. I nie tylko tym. Jasiński, jakim go pamiętam z Warszawy, był pełen niepokojów. On, tak zawsze powściągliwy, tak zażenowany lekko rozmowa dotycząca jego sprawy intymnych, nie mógł często ukryć wyostrożonej drażliwości nerwowej, jakiegoś rozjątrzenia wewnętrzznego, neurastenicznej skłonności do nagłych przeskoków od spazmatycznego znużenia do wybuchów zimnej trytacji. Oczywiście, można to było wytłumaczyć ciśnieniem warszawskiej atmosfery literackiej, kłopotami pieniężnymi, quasi-bezdomnością, koniecznością spędzania większej części dnia i nocy w kawiarniach i knajpach, krótko mówiąc — cygańskim bezładem życia, czego w gruncie rzeczy bardzo nie lubił. Tutaj zaskoczył mnie równowagą usposobienia i pogodą ducha (...).

Wspomnienia Bruca bardzo dokładnie przekazują nam postać Jasińskiego w Paryżu; dzieli je jednak okres lat niemal czterdziestu od owego pobytu paryskiego. Wydaje się więc w pełni usprawiedliwione pragnienie bardziej bezpośredniego zbliżenia czytelnika do Jasińskiego owych czasów — do jego codziennych przeżyć, wrażeń, emocji. Na szczęście, jesteśmy w stanie odbyć tę podróż w czasie, dzięki wspomnianym już dziś listom z tego samego okresu skierowanym przez poetę do jednego z przyjaciół w kraju, a publikowanym przeszło 30 lat temu przez A. Mikulke. Są one tak charakterystyczne dla ówczesnego „emigranta”, tak jaskrawo oddają jego goręć i ile maskowana niepewność siebie, że niewątpliwie zainteresują czytelnika i wiele mu powiedzą o tym pełnym sprzeczności pisarzu.

Pierwszy list jest z listopada 1926 roku:

(...) Wyjazd za granicę zrobił mi na ogół dobre. Poczułem to od razu w pierwszych miesiącach. (...) Najwidoczniej brakło mi potrzebnej dystansu i czułem, że zrobić nic nie zdołam. Wyjazd do Paryża i kilkumiesięczna „separacja” od Polski wyleczyły mnie z tej przymusowej bezczynności i pozwoliły w przeciągu paru miesięcy zimowych wykonać bez trudu plan, z którym nosi-

bardzo fanatyczna natura nie pozwoliłaby mu na zmianę marszrutu, choćby przemcuwał, że skończy się to dlań śmiertelnie?... Cóż można wiedzieć? W tej chwili pragnę tylko zaakcentować, że są widoczne różnice pomiędzy Jasińskim, takim jak go widział St. Bruca, a takim, jakim ukazuje się czytelnikowi on sam w swych listach do przyjaciela w kraju. Portret Bruca, jak już wspominałem, jest bardzo wierny; jest jednakże nieco wyidealizowany. Inny jest autoportret Jasińskiego, pełen goręcy i namętności. Jak gdyby malowany przez Delacroix czy przez Picassa w chwili uniesienia, krótkimi uderzeniami pędzla, gwałtownymi, jak uderzenie noża.

Mimo wielu ciekawych realiów we wspomnieniu Bruca, sądzę, że autoportret Jasińskiego jest bliższy prawdy: mało w nim jest owej „pogody ducha”, którą w nim dostrzegł przyjaciel. To portret poety, który wówczas właśnie tworzył i kończył dzieło, będące najwyższym jego wzlotem poetyckim — kto wie, czy w ogóle nie najwyższym osiągnięciem w jego twórczości. Oczywiście, mam na myśli „Słowo o Jakubie Szeli”.

Odnótowałem fragment wspomnień poety, który się w owym czasie zetknął z Jasińskim w Paryżu, a także urywek listu pisanego przez Jasińskiego do przyjaciół w kraju. Szukając jednak śladów przyjaciela swej młodości i byłego towarzysza broni w Paryżu, trafiłem podczas owego „rechercha du temps perdu” na człowieka, który ukazał mi zupełnie odmienny obraz Jasińskiego.

Człowiekiem tym był Stefan Priaceł, postać niezmiernie charakterystyczna dla Paryża — dziennikarz, podróżnik, poliglota. Jego wspomnienia o Jasińskim szczególnie zasługują na uwagę: po pierwsze, są wspomnieniami człowieka, który studiował charakterów ludzkich poświęcił wiele czasu; następnie, pisarza lewicy, autora książki „W imieniu praw”, gdzie z niezwykłą odwagą zostały przedstawione przez niego głośne procesy czasów przedwojennych, których Priaceł był świadkiem: proces Rakosiego na Węgrzech, Anny Pauker w Rumunii i inne.

Warto przy tym nadmienić, że ten sekretarz przedwojennego „Monde’u” i osobisty przyjaciel H. Barbusse’a aresztowany był przez policję hiszpańską czasu wojny i internowany w obozie Vernet; że był

rzekł mu poprzec go w „Humanité”, a gdy udało mu się tam zapewnić druk powieści w odcinkach (był to nie lada triumf: powieść Jasińskiego była i jest do dziś bodajże jedyną powieścią polską, drukowaną w piśmie francuskim) przyrzekł pisarzowi poprzedzić jego utwór wstępem, co niewątpliwie nie pozostało bez wpływu na przyjęcie powieści przez popularne wydawnictwo „Flammarion”.

Pytam Priacela, jakie wrażenie wywarł na nim Jasiński. Namyśla się przez dłuższą chwilę, tonie wspomnieniem w przeszłość. Potem opowiada:

— Nie wyróżnił się niczym szczególnym spośród tłumy takich samych jak on cudzoziemców. Może był bardziej młodszy, bardziej zamknięty w sobie. Na to jego zahamowanie mogła wpływać w dużej mierze słaba znajomość języka francuskiego — zapewne dlatego też podczas jego odwiedzin w redakcji „Monde’u” towarzyszyła mu niemal zawsze władająca doskonale tym językiem jego żona. Wyczuwało się u nich biedę, może nawet wielką biedę; znamię groteskowości nadawał temu nieco zaskakujący szczegół: Jasiński nosił monokl (Priaceł ode mnie dopiero dowiaduje się, że monokl ów nosił Jasiński z powodu wady wzroku, ale nie potrafię mu odpowiedzieć na pytanie, czemu jednak przestał nosić swe szkielek, znalazłszy się na terenie radzieckim...).

Pisarz uśmiecha się tym szczególnym, pełnym pobłażliwości uśmiechem, którym Francuzi mają zwyczaj kwitować małe grzeszki ludzkie — takie jak snobizm lub próżność — i ciągnie:

— Ten monokl był dla niego jak gdyby szklaną tarczą, która osłaniała go przed brutalnością świata usiłującego sepnąć go pomiędzy bezmienny tłum takich samych jak on emigrantów. Skądinąd jednak, wywoływało to mimowolne zdziwienie; pojmuję pan: monokl — i robotnicy... Jasiński mówił o sobie jako o komunistcie, ale czynił to jak gdyby en passant, chociaż u nas to „Monde” było to przecież raczej kartą rekomendacyjną. Czy było to wynikiem dumy, czy też przez wrażliwość?... A może wpływało to z osobistością młodego poety: o ile mi wiadomo, rzadko opuszczał dom, rzadko bywał w naszych kawiarniach, takich jak Dôme, Coupole, co należało już poniekąd do rytuału obowiązującego każdego pisarza. Osobobnie to zrodziło w nim szczególny, nieco niechętny stosunek do polskiej emigracji „intell-

(Dokończenie ze str. 1)

w swoich wsiach. Wobec trudności z uzyskaniem pracy na miejscu całe grupy wozaków corocznie wyjeżdżają w głąb kraju w poszukiwaniu zarobków. Na wiosnę, zaraz po obsianiu pola, wyjeżdżają na tereny wielkich budów w całej Polsce. Dla wozaka zaczyna się okres znuż. Praca od świtu do nocy. Każda furmanka ma dodatkowo robotnika pieczonego. Pracują wszędzie. Gdzie ich nie ma? Na budowach, przy zwózce ziemi, materiałach budowlanych. Przy budowie dróg, tam rzecznych, wykopach melioracyjnych. Wszędzie, gdzie niedostępnym jest system mechaniczny, a więc samochody, buldożery, spychacze... Można ich spotkać w Bieszczadach, na Mazurach, nawet w Beskidzie Śląskim. Budowali Nową Hutę, Stare Miasto w Gdańsku. Obecnie jeżdżą do puławskich Azotów. „Holendrów” pociąga nie tylko praca dla ratowania budżetu domowego. Pociąga ich przede wszystkim Eldorado w postaci wysokich zarobków. Obecnie w Sławatyczach ok. 50 proc. ludności trudni się wozactwem. W Mościcach — prawie 80. Corocznie latem terkoczą więc sławatyckie furmanki na wielu drogach kraju. Tylko kobiety pozostają na miejscu z utęsknieniem oczekując zimy i pojawienia się szych ojców i mężów wraz z zarobionym groszem. A grosz jest ciężki. Jeszcze parę lat temu wozacy zarabiali po kilkaset tysięcy złotych w ciągu sezonu letniego. Dzisiaj trochę się urwało. Niemniej i obecnie ich zarobki sięgają stu i więcej tysięcy złotych.

Nasuwa się refleksja. Dlaczego nikt z mieszkańców Sławatycz nie buduje się mimo istniejących ruder z jednej strony i olbrzymiego standardu zarobkowego z drugiej strony? — Odpowiedź na to pytanie znajdzie się niewątpliwie wewnątrz mieszkań — myśli dziennikarz. Perskie dywany, meble na wysoki połysk, drogocenne kryształki, olejne obrazy... Warto zobaczyć. No i przede wszystkim rozmawiać z wozakami, nim z peknieniem pierwszych lodów wyruszą w swe dalekie rajdy.

Rudera podparta kółkami. Niewiele różni się od innych. Mieszka tu jeden z hm... wozakowych potentatów. Pukam do drzwi. Ale miałem cholernego pecha. Tego dnia oprócz dziennikarza bruk sławatyckich ulic szlifował również miejscowy ksiądz chodząc od domu do domu tradycyjnym zwyczajem „po kołędzie”. Stół w mieszkaniu zaścieniono białym obrusem specjalnie na ten moment trzymany pieczołowicie przez rok okragły gdzieś w szafie. Na stole ustawiono lichterze ze świecami. Nie domyślałem się nawet, co mnie czeka. Już w sieni omal nie rozdeptałem jakiejś kwoki, która narobiła piekielnego krzyku. Kiedy przekroczyłem próg domostwa, żona wozaka biorąc mnie w roztrągnięciu za proboszcza zapaliła świeczki. Byłem onieśmielony takim powitaniem. Ale niebiański nastrój rychło prysnął. Kobieta bowiem spostrzegła, że nie noszę na sobie sutanny i że swoim wyglądem zewnętrznym w ogóle nie przypominam miejscowego proboszcza. Nastąpiła konsternacja. Kobieta była purpurowa jak rak. Szybko, jak tylko mogła, zdmuchnęła świeczki. Mogłem więc przystąpić do swej dziennikarskiej misji.

Miałem jednak pecha w dalszym ciągu. Z wozakiem nie rozmawiałem. Spity, jak biała leżał na barłogu w drugiej izbie, pomrukując. Za jednym zamachem prysnął mił o Eldorado. Mebli na wysoki połysk ani tapczanu, ani perskich dywanów nie było. To mi posłużyło jak awizo do reporterskiego rekonensansu.

Niewielki rynekcek w centrum osady. Czynniki na zewnątrz charakter. Kilka sklepów GS, gospoda, kawiarnia, piekarnia, lecznica dla zwierząt, ośrodek zdrowia... Na naczelnym miejscu nowoczesny budynek Kasy Spółdzielczej. Okazały, jednokondygnacyjny gmach, jedyny chyba akcent współczesnej architektury w tej miejscowości. W hallu — kwiaty, palmy, nienaganna architektura wnętrza czynią z Kasy naprawdę reprezentacyjny lokal. W budynku miesi się także Komisariat MO i Prez. Grom. Rady Narodowej.

Rynekcek leży na wysokiej skarpie. Między szerokimi prześwitami zabudowań widać stąd dokładnie dolinę Bugu. Jeszcze dalej, na horyzoncie, za krętymi zakolami Bugu jak czarna krecha na tle zaśnieżonego krajobrazu rysują się bratnie wozakom Mościce Duże. Jest południe. Przemierzam wydłużony o tej porze rynekcek.

Przed Kasy Spółdzielczą stoi furmanka. Dwa siwki zaprzężone do dyszał stryżki niecierpliwie uszami. Jest mroźno. Siwkom z nozdrzy buchają kłęby pary. Przy furmance właściciel roztupa kosiłniste z zimna nogi. Jest w koczku po same niemal kostki. Koźuch nie chyba wyprawiony, bo śmiertdzi od niego jak sto diabłów. Chłop barania czapę nasłagnał na pół głowy, oczy

ledwo widać. Już z daleka słyszę jego pijątkę ckawkę. Gdy go mijam, kożuszki choćby zaczęła mnie besceremonialnie!

— Panie, kup pan telewizor! Propozycja jest intrygująca. Przystaje — Telewizor? Od pana?

— Nie! Nie ode mnie — wola lekko urażony. — To Antoni chce opylid.

— Kto to jest ten Antoni?

— Chłopina jest wyraźnie zgrzeszony moją ignorancją. Chce coś powiedzieć, ale zakręca się nagle. Pozwalam mu, aż się wyzeka do woli.

— Mój kumpel — wola wreszcie oclairaję rekawem nos. — O, nie widzisz pan? — wskazuje na kompana, który wyłącza się akurat zza zabudowań. — Upomniałem go! Po co mu to było. Głupotę zrobił i tyle.

— Jaka głupota?

— No, z tym telewizorem, Co, nie rozumiesz pan! Zona go tak wykolowała.

taksówek. W pierwszej jechał on sam na dobrym „gazie”, w drugiej jego lewy but, w trzeciej — prawy, w czwartej — jego marynarka, a w piątej — kapelusz.

Na wiosnę, przetrwoniwszy do cna wszystkie pieniądze w gospodzie, zaciągają oni pożyczki w miejscowej Kasie Spółdzielczej na jasio dla koni, a nierzadko na kupno koni i wozu i — wyruszają znowu w świat. A żony czekają. I tak w koło Macieju. A rudery pochylają się jeszcze bardziej.

Nad kawiarnią odrapany sztyd. Wstępuje. Takież jak i sztyd odrapane są tu ściany. Pierwsza sala



Fot. A. Polakowski

— Dlaczego żona?

— A taki! Tyral całe lato, kupił to pudło, bo się babie kina w domu zachciało, i co on teraz z tego ma? Dziad! Posuchał żony fuja! Na kieliszek wódki teraz go nie stać.

— To nie lepiej tak przy telewizorze — wstręcam nieśmiało — niż się pętać po zimnej knajpie.

Kożuszany lachman popatrzył na mnie z góry.

— Z bykaś pan spada. Toć wódka rozgrzewa. Bierz pan telewizor. Za pół ceny, póki czas. Po co ta mowa. — No, co Tosiek! — zwraca się nagle do nadchodzącego kompana — masz forsz?

— Pytasz! — wykrzykuje tamten z triumfem.

Oto i Antoni. Stał przy furmance koysząc się lekko na nogach. Kurtka — trzy świerki, wywiechtała aż blyszcz. Wszystkie guziki u tego lachmana poobrywane, wiatr telepie postrzępionymi polami, z podartych rekawów wylazi wata. Gramoli się na furmance.

— Ostawił telewizor? — pyta koźuch.

— No!

— A starczy?

— Wziąłem zadatek! Starczy!

Rozpromieniony koźuch winduje się do wozu. Nieporadnie lokuje w grochwinach swe zmarnięte nogi.

— Nie chętaś pan, to częś pracy! — wola do mnie z politowaniem. — Damy sobie radę, no nie, Tosiek?

Miejscowa gospoda nie grzeszy czystością. Mimo to gwarowo tu i tłoczno. Amatorzy „jednego” szczerze blokują koślawe stoliki uginające się pod ciężarem calych baterii butelek z czerwoną kartką. Z pijackiego bełkotu bywałców łatwo zorientować się, że reprezentują oni klan ludzi spod znaku bata i furmanki. Wszystko to kipi, wre, wydziela woń potu, pachnie oparami tytoniu i alkoholu, gestykuluje i halasuje... To dla nich pracują w pocie czoła sławatyckie kelnerki. Caloletni trud na wielu budowach kraju zamienia się tutaj w proch i pył, przepraszam, plynie warkta struga monopolowej. Oszałeć można! Jelen na rykowisku, zamknięty w prostokąt poznaczonych ramek na ścianie ryczy chyba z rozpacz.

Wozacy nigdy się jeszcze tutaj niczego nie dorobili. Hulaszczę tryb życia, rozrzucony i brak jakiegokolwiek innych zainteresowań wtłacza ich do przesychniętej wilgocią sal gospody. Przy koślawych stolikach przetrwają dzień po dniu caloletnie zarobki. A żony czekają. Nie zawsze mają na co czekać. Wozacy bowiem jeżdżą nie tylko po całym kraju. Przy okazji „zjeżdżają na dziady”. Zdarzało się, że wozak, nim dotarł do rodzinnych pieleszy po caloletniej pracy, zdołał przetrwonić nie tylko zarobiony, wietoluszczyzny grosz, ale „przepił” również konie z wozem, wracając do domu na piechotę — w samutkim kombiniezonie. Nie jest to wypadek odosobniony.

Nie wszyscy wozacy trwonią jednak zarobione pieniądze poza granicami rodzinnej miejscowości. Większość z nich wraca do domu z gotówką. Całe zarobki przepijają w ciągu zimy w miejscowej gospodzie. A wozakom, co jak co, ale na fantazji nie zbywa. Była już gospoda świadkiem komedijskich scen. Jeden z wozaków zakupił tutaj cały zapas beczek z piwem wraz z przyrządem do pompowania, aby innym nie dać się napić. Inny znow po caloletniej pracy, sprzedawszy konie z zaprzęgiem, wracał do Sławatycz z Lublina osobliwym orszakiem w postaci pięciu wynajętych

z bufetem. Półki od dołu do góry zapelnione butelkami z winem. Sławatycki Dawid i Goliat prowadzą przy bufcie głośną transakcję. Kto postawi następną butelkę? — Coś ty, parobek? Nie postawisz? — naciera wyższy.

Wychodzę.

Parobek? Słyszałem już to słowo w miejscowym komisariacie. Pókiwano z parobków w szkole. Słowo „parobek” przeszło już do lamusa historii. Ale nie w Sławatyczach. Przeciwnie. Po dziś dzień jest jeszcze w Sławatyczach kasta ludzi nazywanych parobkami. Są to młodzi chłopcy, którzy chcą zarobić w ciągu lata trochę pieniędzy oferując swoje usługi wozakom. Wozacy chętnie ich nająmują. Za nędzny grosz. Za to łopaty mają duże. Prawie na pół metra, szerokie. Cholernie ciężko ładować ziemie taką łopatą. Ale pracować trzeba. Wozacy nie mają pobłażania dla parobków. Dbając o własną kieszeń, płacą im nędzne grosze.

Ostatnie wozacy jeździł na budowę do puławskich Azotów. Smutna jest dola ich rodzin. Zabiedzone żony, niedożywione dzieci... Nędza wylazi z podartych, kusznych kurteczek... Smętnie, coraz smętniej wyglądają rudery...

Ale w knajpie wesoło...

Janusz Koloniecki

GWALT NA POECIE

(Dokończenie ze str. 3)

stworzył w Moskwie własny, „amatorski” teatr — wyraz buntu przeciw panującej idei teatru, własną teatralną trybunę artystyczną. Ci „amatorzy” to Stanisławski i Niemirowicz-Danczenko, a „amatorski” teatr — to MCHAT. Różne więc bywa amatorstwo w sztuce.

Nie chce się powtarzać truizmów, a przecież czasami jest to nieodwołalne: w sztuce wartościowe jest tylko to, co tworzy. Wszelkie naśladowstwo jest grobem sztuki. W praktyce tego, co umiemy się niezbity precyzyjnym terminem „opowieszczenie kultury”, poku tuje od lat pewna wielka szkodliwa praktyka. „Opowieszczenia” się mianowicie wartościowe osiągnięcia artystyczne w ten sposób, że zaleca się je naśladować. Zupelnie tak, jakby, na przykład, chodziło o szybkie uśmierzenie stali czy lony pomysł racjonalizatorski w przemyśle. Ludzie w różny sposób odpowiadali za krzewienie kultury sztuki, z gdzieś tam komus coś się udało, myślał sobie: „ja potrafię to samo”, podczas gdy powinni myśleć: „ja też coś potrafię”. Idzie się po najmniejszej linii oporu, podpatruje i kopiuje. Tęgo złego losu nie uniknęły i teatry poezji.

W starożytnej Grecji, w czasach idealnej harmonii kultury fizycznej i duchowej, w igrzyskach brali udział atleci i artyści. Jedni i drudzy zmagali się w walce o jednako cenne laury olimpijskie. W naszych czasach ideały greckie nie są możliwe do powtórzenia. Owszem, zmagają się atleci, hodo wani pieczołowicie niczym bakterie w probówkach, ale igrzyska bardziej zbliżone są do rzymskiego cyrku niż do olimpijskiej areny. Główną postacią stał się widz, który płaci i ma za to rozrywkę. Zarząd „dalej, szybciej, wyżej”, przeniesiona ze sportu w dziedzinę kul-

HISTORYCY literatury i krytycy dawno już opisałi narodziną literatury Polskiej Ludowej. Podkreślili, jak bardzo wpłynęły na nią zasadnicze przemiany ideowo-polityczne zachodzące w kraju. Wydaje się jednak, że w sposób niepełny jeszcze znamy skutki, jakie cesura lat wojny 1939-1945 spowodowała w życiu i twórczości tego pokolenia pisarzy, które do literatury wchodziło w latach II Rzeczypospolitej. Lata te przełamały biografie pisarskie na dwie różne części. Części te nie zawsze potem do siebie przylegały i nie w każdym wypadku chciały się złączyć.

Niektórzy pisarze zjawisko to odczuli szczególnie boleśnie. U jednych w cieniu poszły dawne dokonania, liczyły się tylko powojenne, u drugich — pamiętano pisarskie początki, a książki wydawane po wojnie szły w niepamięć. Myślę, że do tej drugiej grupy wolno zaliczyć Stanisława Piętaka. *Alfabet oczu*, drukowany pod firmą lubelskich „Dziwigarów” zapowiedział od razu prawdziwego poety, a potwierdził to tomy następane: *Legenda dni i nocy* oraz *Ziemia odpływa na zachód*. Powieść *Młodość Jasia Kunejela*, za którą Piętaek otrzymał nagrodę młodych, utwierdziła jego pozycję i zapewniła mu rozgłos. W tych paru książkach zawarto się do wszystkiego, co znamionuje istotę pisarstwa autora *Zaklinali*. Ale przecież była to niewielka część tego, co wyszło spod pióra Piętaka. Powojenne tomy prozy i wierszy, narastające rok po roku, trafiały w próżnię. Pisali o nich krytycy — przyjaciele, ale nie spotkali się one nigdy z takim przyjęciem, jakiego autor oczekiwał i jakie powinno być ich udziałem. Mimo wydanych po wojnie kilkunastu książek pozostał Piętaek w rzeczywistości autorem paru przedwojennych pozycji. To zapamiętano mu, późniejsza twórczość nie została jak gdyby pisarzowi zaliczona. A przecież miał Piętaek prawo oczekiwać odbioru przez krytykę i czytelników całosci swego dzieła.

Rzucane rok po roku książki nie zrównoważyły więc ciężaru dawniejszych, oto skutek cesury lat 1939-1945. Tu znajdowało się na pewno — mówimy o tym i wspomnienia pośmiertne — jedno ze źródeł tragedii poety. Ze tak było, poświadczają *Portrety i zapiski*, jedna z najlepszych książek Stanisława Piętaka. Dokonała się w niej ostateczna walka poety o własną niepodległość artystyczną. Walczył Piętaek z etykietami i mylącymi sztydami, jakie nad jego twórczością zawieszano. Wyjaśniał swój rodzaj, swój stosunek do krakowskiej awangardy. A przede wszystkim walczył z cieniem Czechowicza, ciągnącym od dawna nad jego poezją. Odrzucił Piętaek wyraźnie swoje dzieło od wpływu autora *nuty człowieczej*, a wpływy te krytyka stale widziała i nadawała im przesadne znaczenie. Szukał potwierdzenia swojej odrębności.

Za mało go znalazłem, by kuścić się tu na układanie wspomnienia. Byłem zawsze wiernym czytelnikiem jego liryki, cenilem wiele jej fragmentów. Zetknąłem się z nim po raz pierwszy w drugiej połowie lat pięćdziesiątych w czasie jednego z przyjazdów poety do Lublina. Późniejsze moje zainteresowania Czechowiczem zaprowadziły mnie do Piętaka, jednego z jego przyjaciół. Parę razy zaszedłem do mieszkania poety na Świerczewskiego, zawsze chętnie służył swoim czasem i pamięcią. Ostatni raz byłem u niego pod koniec listopada 1963 roku, na krótko przed śmiercią. Interesował się trwającą wtedy sesją poświęconą poezji polskiej dwudziestego wieku. Poprosiłem go wówczas o jakiś dar dla przyszłego Muzeum Józefa Czechowicza, do którego zbierałem wtedy materiały. Wyciągnął jeden z egzemplarzy *Legenda dnia i nocy* i napisał na nim dedykację. Później dopiero ujrzałem, jak wyjątkowy to był dar, choć mimowolny. Ręka poety trafiła na egzemplarz, który dla badacza kształtu poezji Piętaka i procesu jej powstawania będzie miał znaczenie kapitalne. Ten egzemplarz *Legenda dnia i nocy* stanowił fragment pisarskiego warsztatu. Wiele wierszy poddawał tu poeta nowej obróbce, przerabiał zdania, skreślał całe linijki i utwory, pisał na marginesie: „złe”, „dobre”.

Przed tym ostatnim spotkaniem miałem jednak okazję widywać Piętaka dosyć często, kiedy przebywał on na kuracji w Nałęczowie, w październiku 1963 roku. Wracał chętnie w rozmowach do swej literackiej młodości, chętnie opowiadał. Oczywiście na tyle, na ile pozwalał mu na to stan zdrowia. Początkowo czuł się w Nałęczowie dobrze, ale po kilku dniach skarżył się, że dolega mu serce. I taki stan trwał do końca pobytu Piętaka w Nałęczowie. O samopoczuciu poety mówią słowa wpisane do księgi pamiątkowej Uzdrawiska:

Tu w Łazienkach nie było brak opieki czulej niż dobrego słowa więc przykro mi, że tam mało z siebie dał, doucip w piasek schował. Wzbaczcie, może innym razem trafię do Was na zohukanym Pegazie?

Nałęczów, dnia 26 października 1963
Nie trafił już, ale przybywa zawsze, ile razy rozchylamy karty jego książek.
Stanisław Piętaek

zapominając, że przed sztuką można „tylko w pokorze, tylko na kolanach”. To nie ja, to Stanisławski.

Nie chciałbym, by te słowa rozumiano jako nową krucjatę przeciw wszelkim konkursom w ogóle, różna jest bowiem ranga i znaczenie poszczególnych konkursów. Trzeba odróżnić pozytywne od szkodliwego. Chyba wciąż jeszcze nie w pełni zdajemy sobie sprawę z ogromnego znaczenia i zasług konkursu recytatorskiego. Obudził on na nowo umiłowanie poezji, przyczynił się do rozwoju poezji współczesnej, skutecznie nawiał dialog poety — czytelnik, przyniósł dziesiątki innych niewymiennych wartości. Konkurs przyczynił się do powstania prawdziwego ruchu. I tutaj ten termin jest na właściwym miejscu, nigdy bowiem zbyt wielu odbiorców sztuki, nigdy zbyt wielu miłośników ojczystej pięknej mowy.

Konkursowi recytatorskiemu towarzyszy, niestety, wiele tych samych ujemnych zjawisk, o jakich mówiłem na marginesie konkursów w ogóle. Tym zjawiskom trzeba wydać bezlitosną walkę, trzeba je ujawnić i piętnować. Zorganizowana przez CPARA w Poznaniu dyskusja-seminarium dla instruktorów przerosła się w brydka kłótnie „trenerów”, zaradnych o sukcesy, narzucających sobie nawzajem najbrzydsze chwytliwy dla osiągnięcia sukcesu. Było to widokowo gorzkie.

Ministerstwo Kultury i Sztuki wzięło na szczęście pod uwagę głosy krytyki na temat złej atmosfery towarzyszącej konkursowi i wydało jej walkę. Oby nie ustąpiło, oby przywróciło czystą atmosferę, bo tylko w takiej może się rozwijać entuzjazm dla sztuki.

Stefan Atlas

Smutne lato

Wiesław Sadurski

OCH, smutne, smutne życie. Wiała ciągle opada, ląki wysychają, bydło na pastwiskach rzyca... Nic dziwnego, że i księdza proboszcza znowi się zmario. Takie już czasy... I teraz będzie jeszcze smutniej, chociaż niby tę klubokawiarnię ma się jesienią otworzyć. Nikt nie dobrego sobie po niej nie obiecuje, nie te czasy. Ot, przed wojną, jakby taka klubokawiarnia była, to i uciechy by miał człowiek, a teraz... Nie nie zastąpi nam księdza proboszcza... Ten nowy?... Śmiechu warte! Taki jakiś podskubany, pewnie tylko na ambonie potrafi się mądrzyć... Nie to, co tamten... I na ryby potrafił się wybrać, i żelazka zimną na sarenkę postawić...

A najwięcej radości bywało w jarmarku. Wraca sobie chłopina do domu, ze lba mu się kurzy, szkapine pogania, a tu nagle z krzaka ksiądz dobrodziej wyskakuje! I nie ma przeprosić! Płać ofiarę na kościół, ty taki owaki... Bywało, tłumaczy się chłopina:

— Nie mam, proszę księdza proboszcza, nie się nie utargowało, kiepski był dzień...

A ksiądz proboszcz jak się brzuchem nie zamachnie! — Ty psi synu — powiada — ja cię na ambonie wymienię, całej wsi dam na posmiewisko. Ty śmiesz mnie okłamywać! A gdzie się podziały te dwa wieprzki, które wywiozłeś na jarmark! To tak? Na kościół, na dom boży, grosza żalujesz? Boga w sercu nie nosisz?

Widzi chłopina, że się nie wyrwie, bo ksiądz dobrodziej za leńce uchwycił, więc jeszcze usiłuje się tłumaczyć, że, owszem,

dalby chętnie i Panu Bogu na pożytek, tylko, że nie ma akurat drobnych...

Ale ksiądz proboszcz nie wróbel, jego, bracie, na plewy się nie dało nabrać! Wyciąga gdzieś zza sutanny garść drobnych banknotów i już niby dobrotliwie, wybaczając, powiada do chłopca:

— Tak mi mów, nie wykręcaj się sianem, schowaj go dla kobyły. Dawaj grube, mam wydać...

Rad nierad, wyciąga chłopina setkę z portfela, podaje księdzu, a ten, mając ją już w ręku, jak nie wsiądzie na niego! — Ty lachudro, woda od ciebie jedzie, przechlałeś pewnie pół bożej doli, a ja ci mam z tego jeszcze resztę wydawać! A żeby cię diabli w piekle na spirytus przetopili, niecnoto... Jedź z Bogiem i ciesz się, że mnie gorzej nie rozgniewałeś!

Tak, lepiej z księdzem wówczas było się w dyskusji nie wdawać, chłopina więc poganiał kobyłą batem i odjeżdżał, a ksiądz znowu zaszywał się w krzaki... Daremnie niektórzy usiłowali objeżdżać bocznymi drogami, ksiądz dobrodziej nie dawał się przechytrzyć. I nie było rady — partyjny czy bezpartyjny, swoją dolę musiał zapłacić. Nikt nie wiedział, skąd ksiądz ma takie informacje, co kto na jarmarku handlował. Zaill się poniekąd, ale za swoim proboszczem by w ogień poszli, tak im przypadł do serca...

No tak, a teraz smutno, że serce pokraj... Gospoide zamknęli, nie ma gdzie z sąsiadami pogadać, chyba, że przy domu, ale co za pogadanie przy suchym pysku... Ech, smutno, smutno...

Pewnie i starej Jędrasikowej nie do śmiechu... Nowy ksiądz proboszcz weźmie sobie jaką młodą gospodynię, i za rok czy dwa wyleci z plebanii, aby się zakurzył... Już są tacy, co jej brzucha przypilnują, jak należy... A z naszego księdza proboszcza nie był frajer, szkoda gadać. Gospodynię miał starą, już po sześćdziesiątce, w brzuchu duże, więc niczego nie musiał się obawiać... Ot, raz, drugi popije sobie z chłopami, pogada od serca... Zapytał go kiedyś stary Kalinowski:

— I, ale, proszę księdza dobrodzieja, gospodynię to mógłby sobie ksiądz dobrodziej wziąć młodszą, i lósko by wygrzała, i wygozdziła jak trzeba...

A ksiądz proboszcz jak nie ryknął śmiechem: — To wy, Kalinowski, starzyście a głupi — powiada, a chłopci już się śmieją. — Mam wziąć młodą, powiadać? Taak, miałbym wygodę, co? Dzieci by zaraz napieniła, jak królika, i taka byłaby wygoda... Już ja wolę starą Jędrasikową. Jak trzeba, to i ona wygozdi, a że już stara, to jej licho nie czepli...

Taak, nie dziwne, że dziewczuchy tak chętnie szły do spowiedzi. Niejedną od profesjonalu odchodziła czerwona, ale nie narzekała, bo pokuta nie była duża, a co miała z innymi dziewczuchami do szepciania!... I teraz ma niby klubokawiarnia naszego księdza dobrodzieja zastąpić!... Głupi, kto tak myśli...

Albo ta historia z psem. Mądry był, jakiś rasowy; Franek Poręba gwizdnął go Cyganom, co dwa lata temu ciągnęli tędy do szosy kieleckiej. Wrócili potem do wsi, szukali, dawali sto złotych, jeśli jakiś chłopak powie, że go widział — ale Franek dobrze się zabezpieczył, od razu pięćdziesiąt powiedział, że jak co, to nogi z tyłka powyrywa... Cyganie jak przyszli tak poszli, a Franek psa księdzu sprzedał... I zdarzyło się w dzień targowy, że ksiądz dłużej zabawił, a psa zostawił zamkniętego na plebanii. Wraca, a

pod stołem wielka kupa. Był trochę na gazie, więc zamiast mieć dla psa zrozumienie — wziął kij, wyłoił mu skórę i wygonił na dwór... I co powiecie? Pies się obraził. Taak, poszedł sobie na wies, włożył się ze dwa dni, aż wreszcie u miynarza pod domem zwinął się w kłębek i czekał. Miynarz wiedział, że to pies księdza, ale dął mu jeść. Raz, drugi... Przychodzi któregoś dnia ksiądz do miyna, a pies obraca się do niego tyłem... A — powie ksiądz dobrodziej — to ty taki? Dobrze, niech u was zostanie, niech wam paskudzi w domu na chwale bożą, bo to głupi pies, aż żal patrzeć... Miynarz na to nie nie mówi, wyjmując portfel, woła psa i mówi:

— Masz, zanieś księdzu dobrodziejowi i podziękuj za służbę...

Pies wziął w pysk setkę, leń spuścił i idzie do księdza, a ten widocznie rozczłuszczony, chciał go kopnąć. Pies odskoczył, ale ma dany rozkaz, więc podchodzi znowu. A ksiądz znowu chce go kopnąć... Powtarza się to jeszcze kilka razy, ludzie się śmieją, bo widzą, że pies wcale nie jest głupi. A wreszcie zwierzę się rozgniewało i trzymając setkę w pysku poleciało na wies. Wszyscy myśleli, że znowu gdzieś pojedzie, ale pies zaraz wrócił. I co powiecie? Okazało się, że był na plebanii, sto złotych położył przy nogach księdza gospodyni i wrócił do swego pana...

A ksiądz w niedzielę mówił o zwierzętach z ambony i przyblił się sławny. Mam teraz po nim szczeniaka, chce go przyczyć do polowania na zajęce, ale nie wiem, czy coś z tego wyjdzie; księdzu się zmario i cały rok jakiś taki smutny...

A miynarza pewnie sumienie gryzie, że wtedy z księdza dobrodzieja pokpiwał... Zresztą, kto to wie, co z niego za człowiek, może komunistą? Do partii nie należy, ale to nigdy nie wiadomo... Jakby był w porządku, to z księdza by sobie pewnie podśmiewał... Kto to wie zresztą, jak w tych czasach jest naprawdę?...

Gónicha

(Dokończenie ze str. 1)

Nigdy potem nie były tak kobiety we wsi dobre dla swych mężów jak wówczas, gdy Wiktor był rozwódką. No bo jakże wymyślać chłopu, kiedy ten może się rozgniewać i polecieć do tamtej? Nie było też w okolicy zabawy, żeby się o nią nie pobili. A Wiktor chodziła jakby z miasta była. Co raz to jakaś nowa sukienka, nowa odulacja... Ball się jej nawet trochę ludzie, bo i władza z powiatu nie raz do niej wstępowała, jak było po drodze z jakiegoś zebrań...

No i wreszcie przyszła na nią sprawiedliwość, na którą tak baba ze wsi czekała. Sprawiedliwość była nieduża, czerniawa... Ludzie mówili, że pożyje z nią tydzień

i ucieknie, ale mówili, jak się okazało — głupio. Nie tylko nie uciekł, ale wesele wyprawili, hucznie, z fasonem, że i sekretarz rady narodowej lepszemu nie miał. No i wtedy okazało się, jakiego to chłopca Gónicha znalazła. Wódkę pil tak, że najstarsi się dziwili, kilku młodych, co zaczęli się czubić, sam uspokoił pięściami, a tak tańczył! Ech, gdzie te czasy, pogadywali starsi, wspominając, że i oni kiedyś tak potrafili oberka z przyklekaniem zakręcić, że się kurzyło...

Cześka, bo tak miał na imię, nikt prawie ze wsi nie znał. Góniche podobno zobaczył na dożynkach w powiecie i długo się nie namyślał. Swoją ziemię — mówił — sprzedam — i u was będę z Wiktorą gospodarzył. Niektórzy pokpiwali między sobą, że to dopiero będzie gospodarka, ale i tym wkrótce ochota do śmiechu przeszła, kiedy nazajutrz, w dniu poprawin, pokazał, co potrafi...

Trzeba wiedzieć, że na weselu byli i księża, i komendant posterunku, a nawet przewodniczący rady z żoną i dziećmi zawitali. Pierwszy dzień wesela był udany, więc i nazajutrz przyszli wszyscy chętnie. No i wtedy zaczęło się... Jeszcze było widno, jak

Wiktorą podpila sobie dobrze i gdzieś znikła. Cześkie niby nie widzi, o gości się troszczy, wódkę dolewa, ale o swoim też myśli. Widzi, że ludzie szepczą, że przewodniczący swego synka szuka, ku krzakom nad jezierzem spogląda. Nie więc nie mówi, śmieje się, aż ludzie mają mu za złe, że taki głupi i nie się nie domyśla. Ech, sami głupi, nie widzieli przecież, że Cześkie sobie po cichu orczyki przyszykował, pod stołem postawił...

Przychodzi wreszcie Gónicha, rozogniona, czerwona, z potomka władzy ludowej widocznie zadowolona. Wzięła się pod boki i woła na Cześka:

— Daj wódkę, mężu, a w szklanke! Co to ja — geń, żebym z kieliszka sączyła?

Uchło przy stołach, Cześki oczy zaświeciły aż zrobiło się jakby trochę jaśniej, ale nie, wódkę nalewa, wyciąga rękę ze szklanką do Wiktory:

— Pi, żonusi moja jedyna — mówi — na zdrowie!

ciąga i po tym pochylonym grzbiecie grzeje. Raz, drugi, trzeci, aż Wiktorą przewróciła się na ziemię bez ducha, a ludzie ku niemu się rzucili. Nie śpieszyli się zbytnio, wiadomo, sprawa rodzinna...

Cześkie sam odrzucił orczyki, wody przyniesić kazał, ocucił małżonkę, z ziemi podniósł i kopniakami przeczłodził popędzł. Ach, ile było krzyku Wiktory, ile śmiechu gości! Cześkie zamknął ją w chlewiku a sam wrócił do stołów. Znowu zagrała orkiestra i wesele potoczyło się dalej.

Panna młoda posiedziała w chlewiku jeszcze dwie doby i jakby się po tym odmieniła. Ludzie jej wprost nie poznawali — taka się zrobiła pokorna, dobrotliwa... No, na tym się nie skończyło szkolenie, orczyki jeszcze nie raz był w robocie, bo — jak mawiał Cześkie — dobrej babie lanie tylko życia dodaje...

Ludzie dalej na Wiktorę wołają Gónicha, ale tak prawdę mówiąc, to co z niej za gónicha?... Już żadnej nie ma z niej pociechy społeczeństwo, baba jak wszędzie na swoich mężów wreszcie, nie boją się bożej zemsty! I to ma być życie?...

Wiesław Sadurski

SŁOŃ ZA 16 DOLARÓW

Leszek Prorok

PRZYSŁOWIOWE bogactwo zwierzostanów Afryki należy do przeszłości. Mało kto wie, że znana hodowla egzotycznych zwierząt Hagenbecka w Hamburgu eksportuje okazy pewnych gatunków afrykańskich właśnie do ojczyzny ich przodków. Niemniej legenda kontynentu wielkich lowów ostała się do dziś i te z młodych państw afrykańskich, których zasoby pozwalają na rozwój turystyki łowieckiej, starają się usilnie o uzyskanie w świecie opinii myśliwskiego raj.

Do państw takich należy również Kamerun, republika federacyjna obejmująca tereny, nad którymi w okresie międzywojennym z ramienia Ligi Narodów mandat opiekuńczy sprawowały Francja i Anglia. Obszary te od roku 1884 do pierwszej wojny światowej stanowiły kolonię niemiecką. Spory pod względem powierzchni (483 845 km² oraz ponad 4 mln ludności) kraj rozciąga się od jeziora Czad, a więc od progu Sahary, po bliskie sąsiedztwo równik. Wydłużony i nieregularny kształt granic spowodował, że w obrębie tego państwa znalazło się kilka zupełnie odmiennych od siebie krain klimatycznych ze zróżnicowaną znacznie florą i fauną. Mowa o ludnościowej Kamerunu przedstawia obraz jeszcze bardziej urozmaicony. Kraj zamieszkuje bowiem ok. 80 grup plemiennych posługujących się własnymi dialektami. Rozpadają się one na 4 podstawowe grupy etniczne: Bantu, Semi-Bantu, Chamito-Semici i przedstawiciele grupy środkowosudańskiej. W centrum kraju żyją tu również nieczłuzi (ok. 6,5 tys.) Pigmeje, nadto kilkudziesięciotysięczna grupa arabska oraz kilkanaście tysięcy Europejczyków — przeważnie Francuzów. W tej sprawie sytuacji ludnościowej język francuski pozostał nadal językiem urzędowym.

Klimat na południu kraju gorący i wilgotny, przechodzi ku północnemu cypłowi Kamerunu w suchy, znacznie zdrowszy i łatwiejszy do zniesienia. Południe kraju znamienną obfitość opady (od 2500 do 4000 mm. rocznie), które na stokach góry Kamerun (4870 m n.p.m.) osiąga najwyższe w Afryce notowania (16 tys. mm). Przybrzeżna nizina i południe kraju pokrywa wilgotny las równikowy, który dostarcza hebanu, mahoni, kaurukowca i palmy olejnej. Dużo tu ptaków, małp, trafiają się słonie. Pełno gadów, głównie węży i żmii, np. pytonów, sławetnych zielonych, bardzo jadowitych żmii „mamba ver-

de”, oraz małych lecz wiele niebezpiecznych żmii-bananówek. Centralny obszar Kamerunu wypełniają sawanny, w których trafia się bawół i antylopa, rzadziej zaś i bardziej na północ — żyrafa. W Kamerunie możemy się spotkać z lwem, panterą i gepardem, w rzekach żyją hipopotamy i krokodyle. Oczywiście sporo tu również drobniejszych zwierzyny. Łowiecka mapa kraju ukazuje nam siedem rezerwatów zwierzostanów.

Do rozwoju turystyki łowieckiej Kamerun przywiązuje dużą wagę. W Duali, największym mieście a zarazem głównym porcie kraju, widuje się stale marynarzy szeregu narodowości, wśród nich także i to dość regularnie — Polaków. Na kilkunastu lotniskach tej podrównikowej federacji spotkać można komiwojażerów wielkiego biznesu, jako że znajduje się ona w światowej czołówce eksportu kakaó i bananów, dostarcza też cennego drewna, nasion palmy olejnej, orzeszków ziemnych itp., nadto kryje wielkie bogactwa mineralne. Masowa turystyka pod równik nie dociera, można natomiast do dwu wspomnianych kategorii stałych gości dorzucić jeszcze jedną. Można zachęcić do wizyt zamożnych amatorów polowań na średniego, grubego i najgrubszego zwierza.

Dziedzina lowów podlega osobnemu działowi kameruńskiej dyrekcji wód i lasów. Czarna federacja otacza swój zwierzostan ochroną i reguluje okresy oraz ilość odstrzałów. Lowy na odpowiednio zamoczonej turystę o upodobaniach myśliwskich powierzono z kolei kameruńskim biurom podróży: Camvoyages i Camagence.

Start do łowieckiej przygody rozpoczyna się w jednym z dwóch głównych ośrodków kraju, w stu pięćdziesięciotysięcznej Duali oraz w odległej stąd 300 km stolicy kraju, Jaunde (70 tys.), gdzie lądują samoloty szeregu afrykańskich i transkontynentalnych linii lotniczych. Oba miasta posiadają po kilka hoteli klasy naszego Orbisu. Ceny wahają się, np. w „Hotelu pod Kokosowcem”, który jest najbardziej okazałą budowlą Duali, od 2800 do 5000 tys. franków kameruńskich, czyli od ok. 11 do 20 dolarów za pokój pojedynczy na dobę ze śniadaniem i obsługą. „Hotel du Cocotier” darzy ponadto gratis najpiękniejszą panoramą okolicy i jedną z najbardziej urzekających w całej Afryce Zachodniej. Fasada siedmiopiętrowego budynku, przed którą znajdują się baseny kąpielowe,



Śródmieście Duali (Kamerun)

Zajęcie autora

restauracja i ogrody, zwrócona jest ku górze Kamerun, o sylwetce tak dla tego kraju znamiennej jak Fuji dla Japonii. Położony w śródmieściu Hotel Agwa Palace skupia dokola sprzedawców dzieł sztuki ludowej i pamiątek oferując ponadto renomowane wieczorne obiady w ogrodzie pod kandelabrami.

Organizatorzy lowów zapraszają białych (zresztą nie tylko białych) myśliwych na afrykańskie Safari w sezonie suchym, czyli między grudniem a marcem. Temperatura dzienna ustala się tutaj wówczas na 33–35°C w cieniu, lecz wilgotność nie dokucza nadmiernie. Można też zaryzykować wyprawę w czerwcu, gdy minie mala pora deszczowa, lecz nie między lipcem a listopadem. Przypada wtedy wiekła pora deszczowa, niebo pokrywają chmury, widoczność w powietrzu przesyconym wilgocią słabnie.

Lowy trzeba rozpocząć od skompletowania broni i ekwipunku, co można uczynić również na miejscu, i od wzięcia opłat za zezwolenia odpowiadające zamiarom i pragnieniom myśliwego. System opłat tych jest bardzo różnorodny. Dla przykładu — ceny odstrzałów słoni. Nie są wprawdzie wysokie lecz stosuje się progresję. Za pierwszego słonia od gościa zagranicznego należy się cztery tysiące franków, czyli 16 dolarów. Miejscowi płacą połowę. Za drugiego słonia obywatel Kamerunu płaci 15 a przybysz — 21 dolarów. Dopiero czwarty słon na rokładzie sięga ceny żyrafy, czyli odpowiednio czterdziestu i osiemdziesięciu dolarów.

By amatorom dużych lowów uczciwie przedstawić koszty tropikalnego myślistwa, nie można ograniczyć się do takty odstrzałów. Dotyczy ona bowiem zwierza największego i najbardziej rzadkiego. Przed wyruszeniem w busz myśliwy opłaca rzeczalowe zezwolenie. Wynosi ono za tak zwane male lowy 16 dolarów od mieszkańców republik i dwakroć tyle od dewizowych gości. Wielkie lowy kosztują przybysza 18 dolarów, co odpowiada mniej więcej kosztom kilkudniowego pobytu w reprezentacyjnych hotelach wymienionych głównych miast, bardzo jednak choć sympatycznie prowincjonalnych w porównaniu z nowoczesnymi przemyślnymi metropoliami portowymi nad Zatoką Gwinejską jak Abidjan, Acra czy Lagos.

Osobno opłaca się zezwolenie na noszenie broni: gwintowanej w cenie 34 dolary, niegwintowanej — 2 dolary tańsze. Myśliwy ma prawo przywieźć do Kamerunu w celach łowieckich 2 sztuki broni gwintowanej, jedną — niegwintowaną i jedną sztukę broni „salonowej” np. kalibru 5,5.

Hożlicie opłat na kilka różnych i być może w różnych kasach uiszczanych pozycji gminnych na zasadzie zbudowania psychologicznego ich dolegliwości. Sprawy przejazdu, organizację biwaków, a także pobyt w ciekawych ośrodkach kraju organizują kameruńskie biura podróży.

Może się zdarzyć, że narzbyt krewki a celny strzelec nie powstrzyma temperamentu i wybije zwierzy na dużo. Albo przepuści pieniądze w nocnych klubach Jaunde czy Duali, bądź za wszystko nakupi masek i główek murzyńskich w drewnie, srebrze, kości słoniowej. By go zabezpieczyć przed niemilnymi konsekwencjami takich wyskoków, ad-

„Rzeszowem” do Afryki (3)

KUP PAN „CEGIELKĘ”

Ireneusz J. Kamiński



Fot. A. Polakowski

Jeszcze w latach międzywojennych Podlasie słynęło z wysmienitych napitków. Któż z nas nie próbował krupniku podlaskiego, grzanego z okazji uroczystości domowych z gorzałki i miodu z dodatkiem aromatycznych korzeni: cynamonu, goździków, gałki muskatowej — pyta z uczuciem Wacław Świątkowski w opublikowanej własnym nakładem w 1929 r. broszurce „Podlasie. Piąta wycieczka po kraju”.

Bacchusowe tradycje dziś nieco podpadły, choć np. Międzyrzec Podlaski w powiecie radzyńskim kontynuuje je na swój sposób. Tu właśnie mieści się Dyrekcja Klucza Państwowych Gospodarstw Rolnych, rozwijających przemysł rolno-spożywczy, a więc również produkcję wina. Co prawda zastępca dyrektora Klucza, Henryk Stelmach, nie ukrywa, że międzyrzecy „jabłczok” nie może konkurować z tokajem, ale przecież i tak znajduje amatorów. De gustibus...

Swoistym natomiast ukłonem w stronę tradycji jest żywa pamięć po pewnym obywatelu, który nadużywszy trunku w miejscowej gospodzie zasnął na wieki oparłszy się uprzednio o kant stolika. Od tego momentu mieszkańcy Międzyrzecza przydali gospodzie nieco makabryczną nazwę „Pod trupkiem”. W szeregu przybytków kontynuujących ten wątek historii miasta należy też umieścić restaurację II kategorii „Smakosz”, gdzie świetnie zaopatrzony bufet i rzeczywiście sprawna i uprzejma

obsługa zachęcają do długich kontemplacji, ześrodkowanych wokół tajemnicy własnego „Ja”. Warunki po temu byłyby na pewno lepsze, gdyby nie halaśliwe grupki Cyganów, od rana do nocy okupujących stoliki.

Ich sposób bycia irytuje pracowitych obywateli Międzyrzecza, którzy z wyraźną goryczą pytają siebie i przybysza: za co oni oia? Biela kotły w rozlewni wód gazowych — tłumaczy ten ostatni, a miejscowi uśmiechają się litościwie nad naiwnością reportera, który widać zna życie tylko z gazet i nigdy nie słyszał o „twardych” i „miękkich”. Zresztą Cyganie nie są na tym terenie intruzami, żyją tu od lat, stali się nieodłącznym elementem społecznego pejzażu Międzyrzecza. Nie mogą przy tym narzekać na brak opieki ze strony władzy miejskiej, która oddała do ich dyspozycji dwa obszerne parterowe budynki. Nie odrzucili podarunku. Ale oferowanej pracy, stałej pracy, nikt z nich nie podjął. Posłali natomiast swoje dzieci do szkół, gdzie mały wprawili nieco zamętu. Taki to charakter Cygana...

Jest jeszcze w Międzyrzeczu jadalnia pod wdzięcznym zwolaniem „U Łodzi”, oraz całkiem przyjemna kawiarnia o ujmującej nazwie „Oleńka”, w której kawę podają w termosach, a europejska moda znaczący całkiem awangardowym cięciem mini-jupek na zgrabnych nogach międzyrzeczczanek. Nikt się taką modą nie gorszy, choć starsi trochę, jak wszędzie, kręcą nosem. Nie tylko dzisiaj. Pod koniec XIX wieku miejscowy pleban, ksiądz Adolf Pleśzczyński, kandydat św. Teologii, tak scharakteryzował ówczesną modę:

Starsi ubierają się w długie granatowe kapoty, w zimie w szuby barankowe, pokryte ciemnym sukniem; młodzi przystroili się w krótkie surduty i kromopolityczne (podkr. aut.) paltoty [...] Kapelusze dotąd nie weszły w użycie u mieszczanek, chociaż już w nie zamieszkuje Żydówki się stroją.

W niespełna pół wieku później okoliczna szlachta szaraczkowa, zwana tak od koloru sukmany, warstwa społeczna najbardziej chyba zachowawcza, stroiła się całkiem nowocześnie. Bo oto panie szlachcianki i ich córki nakładały już kapelusze, salopy i kolnierze futrzane, w doniach dzierżyły parasolki — aby tylko odróżnić się od chłopek. Ale w gruncie rzeczy elegancja ta była pozorna. Bo oto, jak wspomina cytowany już Świątkowski, szlachcine „jarmark i do kościoła idzie najczęściej bosą, obuwie wkłada pod murami świątyni”.

Potomkowie tamtych panów na zagonie żyją do dziś w pobliskich wsiach — zaściankach, choć w samym Międzyrzeczu mało się o nich słyszy. I do dziś pozostali wierni tradycji, pełni poczucia własnej godności, wspominający rodowe przewagi. A prawdę mówiąc jest co wspominać...

Międzyrzec jest miastem starym, tak wiekowym, że nawet miejscowi działacze młodszego pokolenia nie bardzo wiedzą, ile to lat sobie liczy. Przypomnijmy:

W 1390 r. Władysław Jagiello podarował wieś niejakiemu Chamcowi, prawdopodobnie za usługi w walce z wojennymi wycieczkami Jadrzyńców i Rusinów.

Prawa miejskie otrzymał Międzyrzec w XV wieku. Należał wówczas do Nasutowców, a następnie do Wyszyńskich, Zabrzezińskich, Zbarskich, Daniłowiczów, Czartoryskich i Potockich. W XVIII w. był największym miastem Podlasia, słynnym z targów i jarmarków, które nierzadko trwały do dni czteronastu. Później utracił produkującą rolę na rzecz Siedlec. W XIX w. i w latach międzywojennych zaludniała go głównie ludność żydowska, wymordowana przez hitlerowców w czasie ostatniej wojny.

Obecnie Międzyrzec posiada 13 tys. mieszkańców, którzy pracują w niezłe rozwiniętym przemyśle terenowym oraz w spółdzielczości pracy: największa spółdzielnia, „Odzież” zatrudnia około 600 osób,

głównie kobiet, a prezuje jej Józef Bartoszczyk.

Pejzaż współczesnego Międzyrzecza nie jest monotonny. Widać, że miasto rozwija się, świadczą o tym całkiem zgrabne bloki spółdzielni mieszkaniowej, przeszklony dom handlowy, z głową rozwiązane przedszkole, a przede wszystkim ruch w sklepach i restauracjach. Prezydium MRN pod przewodnictwem Stanisława Maksymlika, który bodaj już trzecią kadencję dzierży ster międzyrzeckiej władzy, stara się zaspokoić wszystkie najbardziej istotne potrzeby mieszkańców. Ale...

W Międzyrzeczu jest kilka szkół, wszystkie albo przepelnione, albo mieszczące się w starych, niefunkcjonalnych budynkach. Dwie szkoły podstawowe pracują na dwie zmiany, co tylko połowicznie rozwiązuje trudności; nowa szkoła jest wprost konieczna. Zasadnicza Szkoła Zawodowa o specjalnościach budowlanej i metalowej rozrzucona jest w trzech odległych od siebie punktach miasta. Liceum Ogólnokształcące i Technikum Ekonomiczne CRS zajmują stare i równie ciasne budynki. Istnieje jeszcze 2-letnie pomaturalne spółdzielcze studio ekonomiczne, korzystające z nieodpowiednich pomieszczeń. Jak na 13-tysięczne miasto, kłopotów nie brakuje. Na pytanie: co robię w tej sytuacji, reporter nie znajduje odpowiedzi. Ale powinien ją znaleźć władze oświatowe.

Międzyrzec posiada bogatą tradycję, a w tej tradycji znajdują się momenty prowokujące do refleksji nad współczesnością. Już w 1822 r. otwarto drogę łączącą miasto z Warszawą i Brześciem, ale do dziś nie zbudowano tu prowizorycznego choćby dworca PKS. Zadna przy tym powieści, że przejeżdżające kiedys przez miasto utytułowane znakomitości, z polskiego punktu widzenia niezbyt zresztą sympatyczne, nie musiały moknąć na deszczu w oczekiwaniu na zmianę zaprzęgu. A godnie pod względem komunikacyjnym (kolej od 1867 r.) położenie Międzyrzecza sprzyjało częstym wizytom.

Kroniki miejskie zanotowały m. in., że w 1814 r. w przejeździe na Kongres Wiedeński obiadował tu car Aleksander I, że w dwa lata później książę Czartoryski podejmował tegoż władcę wystawnym przyjęciem, że w 1893 r. wtedy właśnie przetoczyła się karoca (czy salonka?) pośła papieża Leona VIII, który spieszył do Moskwy powinszować koronacji Najjaśniejszemu Państwu.

I dziś Międzyrzec nie może narzekać na zapomnienie. Co prawda w ostatnich czasach nie odnotowano odwiedzin choćby jakiegoś ministra, ale pomniejszych tytułatorów gości nie brakuje. Doświadczają oni na sobie niewygod miejscowego hotelu, nie skandalizowanego, podobnie jak i całe miasto, hotelu, w którym niewskazane jest mieszkać cierpiącym na pęczek, albowiem kilkudziesięciometrowy nocny bieg przez błotniste podwórze do nader skromnego WC może tylko spotęgować chorobę. Cesarz Józef II, który nocował w Międzyrzeczu w 1780 r., ten chyba nie biegali!

Interesujący wątek historyczny, który — spleciony ze współczesnością — ujawniał się miejscami w sposób wyrazisty, urywa się niemal na polu kultury. Miasto już w przeszłości ludne, w 1880 r. liczące 11 664 mieszkańców, a w niespełna ćwierć wieku później 17 620, miasto okresami zamężne, prezentuje skromny poczet ludzi, którzy wnieśli poważniejszy wkład do kultury narodowej. Jest to w końcu zrozumiałe, albowiem w ostatnich dziesięcioleciach, a bodajże stuleciach, Międzyrzec posiadał charakter ośrodka handlowego i po części przemysłowego, w większym więc stopniu wykształcił „kulturę merkantylną”, niż intelektualną.

Dzisiejszy stan kultury międzyrzeckiej nie nastraja do optymizmu, choć w jej obrazie odnaleźć można dwa lub trzy jaśniejsze momenty. Świetlice przyzakładowe prowadzą działalność obliczoną na własne

środowiska, lecz prawdę mówiąc pracownicy poszczególnych zakładów nie wkapiają się zbyt z odwiezieniem macierzystych przybytków kultury. Chyba nie znajdują tam atrakcji skutecznie konkurujących z programem telewizyjnym, a najprawdopodobniej istotną rolę odgrywa tu moment psychologiczny: chęć oderwania się od miejsca codziennej pracy. Jedynie spółdzielnia „Odzież” zwabia do swojej świetlicy większą grupę młodzieży, a to dzięki produkcjom zespołu bigbeatowego „Sygnety”. Natomiast w dużych Radzyńskich Zakładach Przemysłu Terenowego sport przesłonił inną, nie fizyczną kulturę.

Niezwykle pożyteczną placówką kulturalną Międzyrzecza jest kino „Bałtyk” (232 miejsca), zajmujące stary, zniszczony budynek. Jego kierownik, Ryszard Maksjan, człowiek niezwykle interesujący, młody i ambitny, zabiega jak może o urozmaicony repertuar, o sprowadzenie jak najlepszych filmów, czego rezultatem są częste projekcje filmów przeznaczonych dla kin studyjnych. Ale kino nie wyczerpuje przecież potrzeb kulturalnych miasta, które domaga się większej inwestycji, na przykład domu kultury. Właściwie nie powiedziano: nie tyle całe społeczeństwo domaga się takiej inwestycji, co pewna, liczna zresztą grupa ludzi aktywnych, którym ciężko kulturalna miłośkość tego miasta, a ta ostatnia cecha zdaje się nie ulegać wątpliwości.

Ale Ryszard Maksjan z wyraźnym sentymentem i uznaniem wspomina początki lat pięćdziesiątych, kiedy to np. spółdzielnia „Bielizniarka” — poprzedniczka „Odzieży” — posiadała piękną salę widowiskową i świetlicę, w której produkowały się istniejące przy spółdzielni zespoły chóralne, taneczne, mandolinistów, a po każdej próbie tańczono przy zetepowskich płytach. Po 1956 r. salę zamieniono na pomieszczenie produkcyjne; podobny los spotkał inne świetlice.

W 1957 r. zespoły orkiestralne odbyły kilka prób przed budynkiem Prezydium MRN, ale i ta demonstracja nie wpłynęła na przydział młodym jakiegoś lokalu. Nieco później udało się zorganizować klub międzyspółdzielniowy, ale i on wkrótce upadł ze względów finansowych. Spółdzielnie, owszem, zostały na utrzymanie klubu, ale tylko przez pierwsze dwa miesiące, a później zamknęły portfele. Dochodziło do kompromitujących instytucje spółdzielcze przetargów: tamci dali tylko 500 zł, to dlaczego my mamy dać więcej?! Odpowiedź: bo jesteśmy bogatsi, nie trafiała do przekonania.

Aż wreszcie na początku lat sześćdziesiątych Prezydium MRN podjęło uchwałę o opodatkowaniu dochodów z zabaw i sprzedaży alkoholu na rzecz projektowanego kombinatu kulturalnego. Za zebrałe fundusze, wcale okazałe, kupiono piękny plac o pow. 4 500 m kwadratowych i jeszcze pozostało w kasie kilkaset tysięcy złotych. Niestety suma ta nie wystarczyła do rozpoczęcia budowy, a ingerencja władz finansowych wstrzymała dalszą zbórkę pieniędzy, albowiem kolidowała to z pewnymi przepisami.

Nieco wcześniej rozesłano do zakładów pracy „cegielki” na budowę tak potrzebnego obiektu, w którym poza domem kultury miało znaleźć się kino. I co się okazało? Największe zakłady, m. in. wspomniane RZPT i spółdzielnia „Bielizniarka”, nie zakupiły ani jednej „cegielki”. Kto kupił? Przedszkole, Rejon Eksploatacji Dróg Publicznych i Zaoczne Technikum Ekonomiczne, którego słuchacze nie są związani z miastem!

Obecnie rzecz cała znów nabiera aktualności, lecz jakie będą rezultaty kolejnej zbiórki, trudno przesądzać. Jedno przy tym nie ulega wątpliwości: potrzeba zgodnego, świadomego celu działania. Bo przecież świetlice przyzakładowe nie „ozwiązują problemu. Chodzi o obiekt kulturalny dostępny dla wszystkich mieszkańców, o placówkę z odpowiednim personelem i atrakcyjnym programem.

Aktualnie, poza kinem i Biblioteką Miejską, kierowaną przez Alinę Siczko, a więc poza instytucjami, których specyfika ogranicza formy kulturalnego oddziaływania, jedyną taką placówką, namiastką domu kultury, jest w Międzyrzeczu klub ZMS „Amicus”, kierowany przez Krystynę Kowalczyk. Skromne wyposażenie klubu — stary telewizor, radio, magnetofon, pianino, niewielka biblioteczka, trochę prasy — w znacznym stopniu rekompensuje energię i pomysłowość kierowniczki, osoby młodej, świetnie nawiazującej kontakty ze środowiskiem. Początki jej pracy przypominają niektóre stronic „Pocmatu pedagogicznego” Makareni, a i dzisiaj, po półtorarocznym obślakawianiu młodych gości, dochodzi czasami do drobnych incydentów.

Klub cieszy się przecież coraz większym uznaniem w opinii Międzyrzecza, zaczynają odwiedzać go ludzie, którzy do niedawna nie wiedzieli o istnieniu „Amicusa”. Co prawda na prelekcję lekarza na temat życia seksualnego przyszło niewiele osób, bo „sprawa wstydlawa”, ale pogadanki prokuratora wzbudziły tak wielkie zainteresowanie, że o mały włos, a musiałaby interweniować milicja. Ale warto przy tym przypomnieć — w celu zachowania prawdziwych proporcji — że tak jak w kinie „Czerwona pustynia” okazała się filmem za trudnym, co odbiło się na liczbie widzów, tak i spotkanie w klubie z pewnym poetą lubelskim nie wzbudziło entuzjazmu. Dopiero argumenty i, co tu ukrywać, niewinne w końcu pogróżki, puszczone przez p. Kowalczyk młodzieżowemu obieg, spowodowały frekwencję. Inaczej przecież, niż przed dwoma laty, przebiegają wieczorki taneczne, inny jest słowniki młodzieży przebywającej w klubie.

Zyciływy stosunek Prezydium MRN oraz coraz większa uwaga zwracana na klub przez miejską organizację partyjną, której i sekretarz, Kazimierz Domański, liczy lat 28, co podaje znaczenie tego drobnego na pozór faktu, gwarantują pomyślny rozwój instytucji, bo taki już chyba autorytet klub osiągnął. Równie sprzyjającą okolicznością jest fakt, że przewodniczącą Zarządu Powiatowego ZMS, Jan Cybul, człowiek nie pozbawiony wyobraźni, jest nauczycielem w międzyrzeckim liceum, a więc ma czas na bliższe kontakty z klubem. A przy tym zna doskonale środowisko i jego potrzeby.

Nasuwa się przecież obawa, czy klub ZMS „Amicus”, działający w oparciu o roczny budżet w wysokości 25 tys. zł, do czego dochodzi (nie zawsze w porę) 5 tys. zł na działalność programową z Zarządu Wojewódzkiego ZMS, klub z jednoosobowym(!) personelem, potrafi zaspokoić rosnące i zmieniające się potrzeby kulturalne Międzyrzecza, które notabene sam rozbudził. Czy nie byłoby lepiej, korzystniej dla kultury miasta, aby finansowały go zamężne przecież zakłady pracy? Zachowując patronat ZMS stałby się on wówczas klubem międzyzakładowym — o znacznie szerszych i urozmaiconych formach działania. Przykre doświadczenia z poprzednią placówką o podobnym charakterze nie muszą się przecież powtórzyć. Czego życzyć wypada Krystynie Kowalczyk. A całemu Międzyrzecowi — zrealizowania projektu nowego kina i domu kultury. Nie wolno dopuścić, aby dotychczasowy wysiłek poszedł na marne.

Literatura ukraińska po rewolucji

OKOŁO 18 proc. mieszkańców ZSRR stanowi ludność ukraińska, nasz bezpośredni sąsiad na wschodzie, z którym utrzymujemy coraz serdeczniejsze stosunki. W ramach wzajemnych wizyt pracowników Uniwersytetu M. Curie-Skłodowskiej i Uniwersytetu Lwowskiego im. I. Franki we Lwowie, które to uczelnie od kilkunastu lat pozostają w przyjacielskich i szerokich kontaktach, odwiedziła Lublin doc. Leonila Miszczenko, pracownik naukowy Katedry Literatury Ukraińskiej Uniwersytetu Lwowskiego. Wygłosiła ona trzy odczyty w Kolegium Humanistycznym UMCS, informującą m. in. o osiągnięciach literatury ukraińskiej. Były to wykłady otwarte, społeczeństwo miało możliwość zapoznać się z ciekawymi faktami.

W niniejszym artykule chcemy podać najważniejsze czy też najbardziej charakterystyczne fakty z osiągnięć ukraińskiej kultury literackiej w okresie radzieckim, zawarte w jej odczytach.

Wszelchstronny i dynamiczny rozwój kultury mógł zacząć się dopiero po otrzymaniu przez naród własnej państwowości w ramach Związku Radzieckiego po zwycięskiej Rewolucji Październikowej 1917 r. Świadczą o tym dobitnie pewne porównania i cyfry.

Przed rewolucją na Ukrainie było 76 proc. analfabetów. W 1906 r. gazeta rosyjska „Więstnik Wospitanijsa” prorokowała, że analfabetyzm w państwie rosyjskim zlikwidowany zostanie nie wcześniej niż w 2177 roku. Wystarczyło przecieć kilkadziesiąt lat władzy radzieckiej, aby znikł on całkowicie. Obecnie na Ukrainie na 100 osób pracujących 54 posiadają średnie lub wyższe wykształcenie. Działała na osiem uniwersytetów: w Kijowie, Charkowie, Odessie, Dniepropietrowsku, Doniecku, Czerniowcach, Użhorodzie i

we Lwowie, a liczba szkół wyższych typów osiągnęła 133. Na 315 kierunkach specjalistycznych tych uczelni studiuje 740 tys. osób. Niektóre dyscypliny naukowe, rozwijane na Ukrainie, zdobyły światową sławę, np. bionika i biocybernetyka, fizyka ciał stałych itp.

Przed rewolucją na Ukrainie wychodziła tylko jedna gazeta w języku ukraińskim, obecnie — 2100 gazet i ponad 200 czasopism; jednocześnie ich nakład wynosi 20 milionów egzemplarzy. Po raz pierwszy w historii narodu została wydana 17-tomowa encyklopedia „Ukrajinska Radiańska Encyklopedia”, stanowiąca kompendium wiedzy o Ukrainie dawnej i współczesnej. Z innych monumentalnych wydań należy wspomnieć o 10-tomowej edycji utworów Tarasa Szewczenki i o 50-tomowej publikacji dzieł Iwana Franki. Wyszli też z druku 5-tomowy „Bio-bibliograficzny słownik” (rodzaj polskiego Korbuta), 4-tomowa „Antologia poezji ukraińskiej” i 3-tomowa antologia humoru ukraińskiego pt. „Ukrajinska smiejtsia”. W ostatnim stadium przygotowywania do druku znajdują się m. in. takie monumentalne wydawnictwa, jak 8-tomowa „Historia literatury ukraińskiej”, 6-tomowa „Historia sztuki ukraińskiej”, wielotomowa „Gramatyka języka ukraińskiego” i największy z dotychczasowych „Słownik języka ukraińskiego”.

Na Ukrainie działa obecnie 30 wydawnictw, z których 13 zajmuje się publikowaniem utworów literatury pięknej. Każdego roku wydaje się przeciętnie ponad 3000 tytułów książek i broszur.

Młodzi pisarze ukraińscy rewolucji przyjęli na ogół z entuzjazmem. Wyznaczała ona szerokie perspektywy narodowi, któremu w okresie caratu nie chciano nawet przyznać prawa do samostannego rozwoju kulturalnego, którego język poświadczano jako mało znaczący „południo-

wo-ruski” dialekt. Poeci Pawło Tyuczyna, Wołodymyr Sosiura oraz wielu innych pisarzy ukraińskich przywitani rewolucją swoją twórczością, solidaryzującą się z zrywem rewolucyjnym. Pawło Tyuczyna w swoich „Słonecznych klaracjach” (1918 r.) ujął w poetycką metaforę rozbudzenie się ciemzonego narodu. Siła natchnionego słowa poetyckiego Tyuczyna dała wówczas początek nowej poezji ukraińskiej, związanej z twórczością ludową, nowoczesnej wtedy w doborze środków poetyckiej kreacji.

Rewolucja wyzwoliła w narodzie ukraińskim ogromne siły twórcze, co uzewnętrzało się m. in. renesansem literatury ukraińskiej.

W pierwszym szeregu rodzajów literackich kroczyła poezja ukraińska, którą wzbogacili poeci starszego pokolenia: P. Tyuczyna, Wołodymyr Sosiura, Maksym Rylski, Mykoła Bożan, Andrij Malyszko, a także poeci, którzy rozpoczęli swoją twórczość już w okresie po drugiej wojnie światowej: Dmytro Pawlyczko, Iwan Dracz, Lina Kostenko, Borys Olijnyk, Witalij Korotycz i wielu innych. Każdy z tych poetów jest swoistą indywidualnością.

Ulubionym przez czytelników poetą ukraińskim był M. Rylski, wielki erudyta, twórca o wysokiej kulturze pisarskiej, uczonej — akademickiej. Wzbogacił on kulturę ukraińską znakomitymi utworami lirycznymi, poematami, wspaniałymi przekładami z innych literatur, publicystyką, pracami naukowymi i folklorystyką. Do ostatnich dni życia (zmarł w 1963 r.) poeta pracował niezwykle intensywnie i płodnie; swoje najlepsze zbiorki poetyckie napisał pod koniec życia. Myśl przewodnią twórczości M. Rylskiego można streścić w słowach: chwala pięknu życia i twórczej pracy człowieka. Rylski jest też najwyższej klasy tłumaczem, m. in. polskiej literatury. Przekład „Pana

Tadeusza” Mickiewicza na język ukraiński pokazuje jego subtelne odczucie poezji i języka polskiego. Wielki ładunek uczuciowy mają liryki Andrija Malyszki. Jego wiersze bardzo często stają się kanwą ogólnie znanych pieśni, przebojów. To on napisał słynną „Pieśń o rękawiku”, która uchrana w formie muzycznej przez P. Majborodę, śpiewana była nie tylko na Ukrainie, ale i poza jej granicami, m. in. w Polsce. Los twórczości Malyszki przypomina więc receptę wierszy T. Szewczenki, który zacierpnął wiele z poezji ludowej. Później wiersze Szewczenki rozpowszechniły się wśród ludu w postaci popularnych pieśni typu „Dumy moji” czy „Rewe ta stołne Dnipr szyroki”.

Wśród młodszej generacji poetów najbardziej popularnym był i jest D. Pawlyczko, absolwent Uniwersytetu Lwowskiego, „syn prostego drwala, hułacza z gór karpackich”. Wydał już kilka zbiorów poezji, w której element społeczny przeplata się z osobistym. Spośród najmłodszej generacji oryginalnością wyróżnia się Iwan Dracz, którego twórczość spowodowała wiele dyskusji. Szuka on nowych form wyrazu, podnosi poezję na wysokie wyżyny intelektualne.

Poważne osiągnięcia ma również proza. Najbardziej rozwija się tutaj powieść i nowela. Wymienić należy takie nazwiska najstarszych prozaików jak Andrij Holowko, Jurij Janowski, Oksandr Dowżenko, Jurij Smolycz, Iwan Le, Petro Panecz. W latach powojennych ujawniają się talenty Mychajła Stelmacha, Olesia Honczara, Iryny Wilde i innych. Spośród powieści ostatnich lat wyróżniają się „Praporońcy” i „Tronka” („Dzwoneczek”) O. Honczara, „Wyr” („Wir”) Hryhorija Tiutiunnya, „Chlib i sil” oraz „Prawda i krywda” M. Stelmacha, „Sestry Riczynski” I. Wilde, powieść-ballada „Dykuj med” („Dzięk miód”) Leonida Perwomajskiego, „Deń dla przydesznioho” („Dzień dla przyszłości”) Pawła Zahrebelnego. Wymieniamy tutaj najbardziej znane pozycje, można by przecieć wliczać tytuły (i autorów) jeszcze dużo.

Nowelistyka opiera się na słynnych autorach z okresu przedradzieckiego: Mychajła Kocubynskiego i Wasyla Stefanyka (ich utwory były tłumaczone na język polski i wydane po polsku przed i po II wojnie światowej). Nowelistyka ma pewną własną „szkołę”, która reprezentuje Ukrainę w literaturze światowej. Znanymi nowelistami radzieckimi są np. ukraińscy pisa-

rze starszego pokolenia, J. Janowski i O. Dowżenko, oraz młodszej generacji — Hryhorij Tiutiunnyk, Jewhen Hucalo i wielu innych. Bardzo ciekawy rodzaj esejistyki, reprezentowany jest obecnie na Ukrainie przez Mychajła Rudnickiego, który pisze o działaczach i twórcach kultury (fragment dotyczący spotkań tego pisarza z Polakami drukowała „Kamena”), Witalija Korotycza, autora reportażu kanadyjskich, Leonida Tendiuksa, Juchyma Martycza.

Dramaturgia na Ukrainie ma długą tradycję, a teatr ukraiński znany jest w świecie. Radziecka epoka literatury ukraińskiej wydała takich słynnych dramaturgów, jak Mykoła Kulisz, Oksandr Korotycz, Iwan Koczera, Iwan Makyczenko, Myrosław Irzcan, Niecodziennym zjawiskiem w literaturze są tzw. „kinopowiaści” Oksandra Dowżenki, największego pośród wódreżyserów filmowych. Sztuka dramaturgów ukraińskich grana nie tylko na Ukrainie, ale też w innych miastach Związku Radzieckiego, a także na scenach krajów europejskich.

W okresie radzieckim pojawiło się wielu utalentowanych tłumaczy, którzy przyswoili kulturze ukraińskiej szereg najlepszych utworów literatury światowej. Klasyk poezji ukraińskiej, Maksym Rylski, po mistrzowsku przełożył poezje Puszkina, Mickiewicza, Słowackiego, Tuwima. Jego następcami w tłumaczeniu poezji polskiej są młodzi: D. Pawlyczko, W. Łuczuk, R. Lubkiwski. Kilka lat temu wydano „Odyseję” w języku ukraińskim, którą przełożył Borys Tena, zarazem autor tłumaczenia „Antygony” i „Medei”. Wszelchstronnie działa na tym polu Mykoła Łukasz, który dał czytelnikowi ukraińskiemu „Fausta”, „Don Kichota”, „Dekameron”, a także niektóre utwory Tuwima. W ukraińskich przekładach wysła dwutomowa antologia poezji czeskiej i słowackiej, utwory Szekspira w 3 tomach utwory Roberta Burns, a także antologia literatury wschodniej, bajki Ezoopa antologia poezji francuskiej. Światowym tłumaczem są H. Koczur i W. Mysyk. W przygotowaniu znajduje się antologia poezji polskiej. Współczesna literatura światowa popularyzuje na bieżąco młodzi. W ukraińskich przekładach wysła dwutomowa antologia poezji czeskiej i słowackiej, utwory Szekspira w 3 tomach utwory Roberta Burns, a także antologia literatury wschodniej, bajki Ezoopa antologia poezji francuskiej. Światowym tłumaczem są H. Koczur i W. Mysyk. W przygotowaniu znajduje się antologia poezji polskiej.

W ten sposób zasygnalizowała tylko te zjawiska współczesnej ukraińskiej kultury literackiej, które są najważniejsze.

Opracował M. Lesiów

OTO nareszcie spektakl, którego inicjatorem i wykonawcą trudno zrobić poważniejszy zarzut. „Kopciuszek” Sergiusza Prokofiewa w Teatrze Lalki i im. J. Ch. Andersena w Lublinie. Z tym oczywiście, że odamy każdemu należne: Prokofiew istotnie napisał muzykę baletową, a Edward Dobraczyński, adaptator libretta wg bajki Grimma i Perraulta, inscenizator, reżyser i choreograf, wspólnie z Ali Bunschmem (scenografia) i Wandą Obniską (wybór z nagrań Wielkiej Orkiestry Wszelchwiązkowego Radiokomitetu i Telewizji ZSRR) stworzył widowisko będące czymś pośrednim między baletem i rytmiczną pantomimą. Bo jakże tu mówić o baletcie „czystej krwi”, kiedy nogi są w domniemaniu? W baletcie proszę nóżki na deski! I wtedy dopiero zaczyna się ocena wszelkich pointes, fouettés, piruetów etc.

Nic z takowych rzeczy w wersji „Kopciuszek” zaprezentowanej przez Teatrzyk im. Andersena nie zobaczymy, ponieważ nie jest on teatrem marionetek, gdzie każdą kończyną figurki można poruszać z niemalą wirtuozerią (widziałam kiedyś w Teatro del Piccoli arcydzielnie sparodiowaną słynną tancerkę rewijową Mistinguett). Ale balet — nie balet, przedstawienie naszego ambitnego teatryku jest urocz. Dzieci siedzą jak zaczarowane na tej godzinie muzyki i poezji ruchu plastycznego, ani jedno krzesło nie skrzypnie. Toteż nieco zaskoczyło mnie orzeczenie recenzentki „Trybuny Ludu”, p. Ewy Kwiecińskiej, po lódzkim festiwalu teatrów lalkowych, jakoby „Kopciuszek” Teatru im. Andersena „był zaadresowany w próżnię”. W ten sposób za jednym machnięciem długopisu spisało się na stratę i funkcję umuzykalniającą spektaklu (służącą nie tylko dzieciom, ale także temu i owemu rodzicowi), i całe jego wizualnie estetyczne oddziaływanie, no i trafne użycie widowiska bez słów jako swego rodzaju „zgaduj zgadul”, bodźca do zastanowienia się nad treścią wiecznie młodej bajki o spełnionym marzeniu.

Zasadniczym, rzucającym się w oczy, elementem lubelskiej realizacji „Kopciuszek” jest zastosowanie na planie żywej reki aktora. Pomyśl ten, niech sobie i wtórny w ogóle, w danym wypadku jest pierwotny o tyle, że został zastąpiony do utanczonej pantomimy i wskutek tego stał się nader funkcjonalny, bo gdy w owym „baletcie” zabrakło nóg, wyrazista, giętka ręka nabiera wagi kompensat. Wydaje się, że naruszenie od czasu do czasu proporcjonalnych odległości z powodu niedostatecznie zsynchronizowanego ruchu nie powinno bardzo razić młodocianego widza, a tym bardziej dorosłego, obytego z zamierzonymi deformacjami

nowoczesnej sztuki. Chodzi tylko o dokładne ukrycie ręki w fałdach szaty lalki.

Na ogół biorąc, ewolucje taneczne miniaturowego „Kopciuszek”, choć nie „klasycznie” baletowe, miały dużo wdzięku, zwłaszcza, jak przystało, na bał w królewskim pałacu. Tu akcję rozegrano pomyslowo bodaj na pięciu kondygnacjach (chwala scenografowi!), co wnosiło urozmaicenie w jednostajną z natury rzeczy płynność ruchów obrotowych. „Ansambel” udało się pierwszorzędnie, wylanianie się postaci spoza kilku kotarek stwarzało nawet nastroj, który mi przywiódł na pamięć bał w „Ma-

DZIECI SIĘ CIESZĄ DOROŚLI PŁACZĄ

Maria Bechcyc-Rudnicka

skaradzie” Lermontowa, ilustrowany muzyką Chaczaturiana.

Inszenizacja Edwarda Dobraczyńskiego obfituje w szczęśliwe pomysły. Poza już wymienionymi, specjalnie podoba się rozwiązanie „środków lokomocji” dla Kopciuszek (łyskliwe obroty samowara i „dynamika” szmatek) oraz dla Królewicza (wirowanie świecących się kandelabrow — żeby tylko chciały świecić się cały czas); mistrzowsko grają żywymi rękami na skrzypcach muzykanci, wycarowana wózka olśniewa aparacją eterycznego motyla, Kopciuszek tańczy z upranym przeciwieństwem niby niedzisiejsza panna na wydaniu — tancerz z szalem, siostry I i II są gadkowo dwójną się w lustrze (a propos — czy to było lustro, czy podobne lalki?), zgrabnie zwija się i rozwija muślinowa kotarka markująca zmianę miejsca w czasie peregrynacji Królewicza z pantofelkiem...

Niekonwencjonalne komplementy należą się wszystkim wykonawcom, którymi byli: Allina Sternik (Kopciuszek), Malgorzata Ejsmund (Królewicz i Wózka), Maria Perkowski (Siostra II), Wanda Wilhelm (Siostra I), Regina Zaluska (Macocha i Hiszpanka), Fred Komala (Nauczyciel tańca), Krystyna Kszmaris (Tancerka Wschodu), Kazimierz Lutowski (Herold), Janusz Piłowski i Antoni Janiszewski (Muzykanci), tudzież statystujący adepci sztuki aktorskiej. A w ogóle za te przepięknie podjętym dyrektorowi Teatru im. J. Ch. Andersena, Stanisławowi Ochmańskiemu, który nie szczędzi trudu, by utrzymać repertuar swej sceny na wysokim poziomie.

Przechwaliliśmy trochę Operetkę Lubelską przy okazji wystawienia „Cyrulika sewilskiego”, możemy więc jej teraz coś niecoś przyganić. Na co nam właściwie ten „Bał w Operze”? Ani to wysoka klasa muzyczna, ani za-

bowane w treści. I cóż z tego, że ex-inżynier, krytyk muzyczny, profesor Konserwatorium Wiedeńskiego Heuberger komponował muzykę „zupełnie inną niż ta, do której przyzwyczaili swoich słuchaczy Strausowie czy ojciec operetki Offenbach”? Tym gorzej dla niego, dla Heubergera, — ich muzyka jest o wiele lepsza. Albośmy tu w Lublinie sami muzykolodzy, że musimy chwycić „okazję” poznania utworu gorszego, byle był „inny”? No zgoda, przewija się w „Balu” parę wdzięcznych melodii solowych i w ansamblach, ale są one już tak dalece ograne i ośpiewane i jest tego tak nieproporcjonalnie mało w

stosunku do objętości „prozy” libretta, iż naprawdę nie oplaci się wprowadzać w ruch całej maszyny operetkowej gwoli tej przestarzałej muzyki.

A tym bardziej gwoli treści owej komedii muzycznej, bo właściwie jest to raczej komedia muzyczna niż operetka. Wiadomo, Hennequin, czy to w kolaboracji farsotwórczej z Weberem, czy z Delacourem lub jeszcze kimś innym — był w swej dziedzinie nie lada mistrzem. Jego „Pani Prezesowa” jest wspaniała i dziś jeszcze do grania. Ale to „Różowe domino”, baza „Bal w Operze”, czerpie humor raptem z przegody trzech par małżeńskich, w której chodzi o przyłapanie trzech niewiernych mężów na bał maskowym. „I to byłoby wszystko”, jak stwierdza dowcipnie program. Cóż kiedy na dzisiejsze apetyty „to wszystko” jest zbyt wsterylizowane z wszelkiej pikanterii, nieomal antyseptyczne moralnie jakby na użytek Armii Zbawienia. Poza tym libreciści, pp. V. Leo i H. Waldberg, zapewne doprowadzili sterylizację tekstu do kwadratu, a i tłumacze (musi ich być u nas zawsze aż dwóch albo trzech w tych chodliwych imprezach) ze swej strony też nie dodali do opusu ani pieprzu, ani soli attyckiej. Wprawdzie nie bogowie teksty wokalne lepią, lecz widząc w programie nazwisko tak utalentowanego pisarza, jakim jest A. Baumgarten, można było się spodziewać, iż złoży on w ofierze na ołtarzu przyjaźni polsko-francuskiej parę dodatkowych dowcipów polskich. Nie złożył.

Konwencja recenzyjna wymaga oceny wykonania. Ale co tu analizować, kiedy naprawdę szkoda było wysiłku dobrego zespołu Operetki Lubelskiej na tę zwietrzałą pozycję.



Ciężkie zadanie

Fot. R. Sien

Jan Szelc

Dom rodzinny

przywołuje mnie dymu ręka
z rękawa komina wyciągnięta
szklanym spojrzeniem
spod strzechy rzęs
pada progami u stóp cierpliwym
ogrzewa oddechem u drzwi
za nimi
uczłowieczenia trwał czas
poznawalem rozkosz chodzenia
osiągania okiennych ram
kolor krwi i smak ściany
upór stołu wszechobecność
błyskawic
należnych mi ludzi krąg
tymi drzwiami wynoszono kogoś
kto był bliski ale nieznanym
kiedyś gdy tutaj wrócę
odnaleźć raz jeszcze
swój pierwszy krok
może lza upadnie na kamień
domu który był
wiernym po ostatnią siekiere
wbita w bok.

Dojrzewanie krajobrazów

idą kłosa łanem w las
kamień swą przekorę wyniosł
z pola
a ciężki rzek napięte
człowiek skłupa ze swym losem
— na miedzianym szlaku
karawana gwiazd
plynie dolinami woda
kolorowych nowych domów
woda
i na masztach anten
śpiewa wiatr
galaż dróg rzucona w pejzaż
kwitnie pól rozdzielanych torsem
płatki roli — płatki chleba
wypełniają szorstkie ręce
i dojrzewa pejzaż w dłoni
wsparty ramionami rzeki.

Andrzej Zabierowski

odpustowa zabawa

w szczerbatych kuflach rzą strażackie trąby
na środku sali
dobry panie Jezu
człowiek się zmylił z obłym kształtem flaszki
grudkami ziemię zbiera pod powieki
i sennie mówi
malowany Jezu
bądź miłościw dla tych
co mnie w glinę worali
w słońce dali płomień
stopy spętali przesiewaniem piasku
bądź dla nich łaskaw
wyrzeczany z drewna

matka boska procesyjna

matka boska chwieje się przy świecach
promienistą gwiazdę roznieca oczyma
męczennikom co dziećmi zgubieni
którzy smaku kamienia nie znają
i świętym witem między zdrowaśkami
ścierają błoto z własnych butów

Edward Zolowski

wierzę

— wierzę w kaskady obłoków
w organy plotów do ziemi
w odbicie dłoni na płasku
w zawartość światła i cieni
i w plugi ciężkie od potu
oraniem kropel stepione
w drzewa opadłe z melodii
w radość ognisk za domem
— wierzę w jasność kamieni
w istnienie lodów i próchna
w głębokość żreń nad ciszą
w odbicie twarzy od lustra
w usta kwiatami mówiące
w ogrody winem pijane
w godziny westchnień nad drewnem
w ślady na gwiazdach szukane
— wierzę w krajobraz rozległy
którego umiem od progu
jeszcze mi tylko zostało
uwierzyć w obecność stołu

W tym wierszu

w tym wierszu kropel łez nie będzie
ani kamieni ciszy pełne
— drewno zostanie graniem lutni
aż się rozsypie w dno rozległe
nie udowodnię dłoniom naszym
które potrafią dźwigać — tullć
że już w kolyse się mociują
by mogły potem szczęścia bronić
w tym wierszu głogów nie uprawiam
ani płomieni nad jesienią
— to wiatr kantaty opowiada
ostatnie róże moją ziemią
nie udowodnię krzyku w dali
gdzie się horyzont mgłą zamyka
choć ptaki z nieba upadają
i gasną wrzasy na powiekach
w tym wierszu holdów nie próbuję
— leżenia krzyżem wśród błyskawic
wierzę jedynie w wartość dłoni
by się dla ciszy znów ocalić

Józef Kawalek

Fetysze

Jam poganin
Tworzę bogów,
czczę źródła i studnie.
W każdym przedmiocie upatruję życie.
Nawet w kamieniu twardym bijące serce
czuję:
papier zdejmę z drogi
i go uszanuję, dam miejsce w świętym
koszu
lub w kieszeni ściskam, jako że jest z drzewa,
które niegdyś rosło ku podziwieniu niebu
i w nocy gwiazdom pocałunki ślało.
Oddaję cześć i bramom, że się otwierają,
przyjmując mnie do wnętrza.
oknom za widoki,
ulicom za ludzi,
wystawom za rzeczy sycące wzrok
przechodnia.
Nawet ostrzu noża, że chleb co dzień kaleczy,
składam ukłon mnisz, ascetyczne słowo.
Jam poganin,
świat martwy mi Bogiem,
materia zbawieniem,
krzyk mym zmartwychwstaniem,
a cisza stworzeniem.

Władysław Włoch

Wyrok liryczny na ptaka

gdybym zaczynał się długo w tej myśli
o ucieczce do domków z powietrza
wszystko co lżejsze jest mi tutaj obce
jak ptak choć ciężko w powijaki runął
jaki on w napisie na swoim kamieniu
miał żywot
w jaju turlany do zatęchłej klatki
w tych obrazach mniemanych boleśnie
choć byłych
sam opowiadam mu łaskę jak przedśpiew
jego dziób w kielichach gorczy
w zapach kniei pszczołę na temblaki nasunął
po miodów niesmak na wzdętej gałęzi

Zmilczanie owada do głosu

ciało na przekór wiszącej odzieży
jak stągwie ufne w dno
w ciemne oko głębi
tam budzisz się przed ochłapem miodu
krwawym palcem prowadzony w gąszcz
z rąk
do rąk
z ust do ust jak zamiast w ukąszeniu miód
smak nagłych popiołów
w pomieszczeniu dziaseł
gdy między ptakiem a rybą
owad skrzydeł do kwiatu podchodzi

Tadeusz Kubas

życie w ramach okiennych

bogactwem mroźnych hieroglifów
wylegił na szyby duch Matisse'a
mieczyk pod rękę z palmą hasa
paproć o wzajemność pyta
stary mech — hermafrodyta
Ilija jakże tym zgorziona
nie zostanie nigdy żoną
woli z trzcina romans cichy

Celina Karcz-Zabierowska

* * *

Pochylone
bo takt melodii pochylił
ich głowy
choć czują wszystkie gwiazdy
nie objęte dźwiękiem
spadają coraz niżej
od punktu zaczepienia
dla obwisłych oczu
brzech wyskoczy
radością zakłopotania
a kiedy bunt powstanie
na muzykę smutną
skryją dłonie za siebie
bez dźwięku

Marian Berkowicz

Czerwony węzeł

w ulicach przesiąkniętych
potem Nocy
świat rozwieśa świeżość wrzesnia
powój
czerwonych słów
wraśta
w krzyk
rozczochranego świata
wrzesień ocieka krwią
moleh Braci

Józef Janowski

W głąb żar

Pamięci C. K. Norwida

Myśl od pochyłych czola
od milczeń trwa
Zachodzi w pogotowie słów
skąd daty wyjdą
Lamią się głosy
o sakralność zneruchomień
o marmurzenie przemian
wielorako poczęte
Aż gaśnie bezwład
Aż myśl dostojnieje

Czesław Piotr Kondraciuk

Bez słowa

Gdy kiedykolwiek
spojrzysz za mną w czas
gdzie droga sięga
do granic myślenia
pomyśl
że jestem
jedną z małych gwiazd
albo najlepiej —
pomyśl że mnie nie ma
i nie odgrzebię
przygnitych już kości
wszak wiesz że życia
nie zaczę od nowa
weź garstkę piachu
po drodze go rozsiej
postuchaj chwilę
potem idź
bez słowa.

Kwiatów ci nie przyniosę

Kwiatów ci nie przyniosę
moje kwiaty nie zakwitły jeszcze
zagłuszył je kłujący osot
swoim ostrym szelestem

przyniosę tobie krzyk bogów
ich wielką kamienną rozpacz
i nieprzebyte drogi
którymi sami

musimy sprostać.

Ludmiła Pietruszkowa

Dom

To nie był nawet
domek iz kart —
ani pałac na lodzie.
Ale były w nim kwiaty
które w rękach naszych
kwitły mocno
Były hosanny świtów
i nokturny zmierzchów
były ucieczki znikąd
i powroty donikąd —
to wszystko było
chyba przed lat tysiącem.
Na ruinach domu
nie ma ciszy —
mówią kamienie słowa
niedopowiedziane.

Zofia Stąpor

jest

nagrany słońcem
nieruchomy
między śpiewem ptaków
a horyzontem
świerszczy

w jego cieniu
błękitem podbite słowa
odnajdują mnie
jak powracające do gniazd

okruchy zdarzeń
mają inne
twarze
obracam je w palcach
jak ziarno

O komizmie bardzo serio

OD MOMENTU, kiedy w witynach księgarskich ukazała się książka Bohdana Dziemidoka „O komizmie”, zaczęłam uważnie przeglądać kolejne numery pewnego czasopisma społeczno-kulturalnego, na którego łamach od dłuższego czasu produkuje się pewien felietonista-partyzant. Mój trud szybko został uwieczniony sukcesem: w 45 numerze „Kultury” znalazłem, czego szukałem. Tym wątpliwej wartości znaleziskiem był — jak łatwo się domyślić — felieton niejakiego Hamiltona „Śmieć się pajacu”. Hamilton to człowiek o niezwykle szerokich zainteresowaniach, z którymi — niestety — nie idą w parze równie szerokie horyzonty. Być może owe horyzonty zawężał nieublagany czas. (Przypominam rzecz powszechnie wiadomą, że felietonista liczy sobie lat 95, a może nawet 105). W świetle tego faktu jasne stają się przyczyny wyraźnych braków erudycyjnych. Staruszek mógł po prostu to i owo zapamiętać. To prawda, że jego starcze zrządzenia towarzyszące prawie każdej merytorycznej dyskusji są dość irytujące, ale cóż zrobić? Starość ma swoje prawa.

Innego chyba zdania jest autor książki „O komizmie”, który w ostatnim ubiegłorocznym numerze „Kultury” podjął polemikę z Hamiltonem. Moim zdaniem Dziemidok powinien oszczędzać siły i argumenty, gdyż jedne i drugie przydadzą się w merytorycznej dyskusji na temat jego pracy. A kontrowersyjnych kwestii jest sporo.

Zacznijmy jednak rzecz od głowy. Faktem niewątpliwym jest, że istniała u nas paląca potrzeba tego rodzaju studium, obszernej pracy teoretycznej, która za zadanie postawiłaby sobie uporządkowanie chaosu, przetrzeźwienie gąszczu terminologicznego, jaki otacza fenomen estetyczny zwany komizmem. Przed Dziemidokiem w naszej literaturze przedmiotu trud ten wziął na siebie bodajże tylko jeden Bohdan Zawadzki, ale od czasu publikacji jego pracy upłynęło 38 lat. A więc celowość przedsięwzięcia nie podlega dyskusji.

Autor studium „O komizmie” postawił sobie jednak zadanie jeszcze ambitniejsze, zadanie — obawiam się, ale są to moje prywatne obawy — niewykonalne: stworzenie uniwersalnej teorii komizmu obejmującej równocześnie wszystkie kategorie zjawisk komicznych.

Czy i w jakim stopniu udało mu się wywiązać z obu tych przyjętych na siebie zadań? Na to pytanie

spróbuję dać przynajmniej częściową odpowiedź.

Niestety, oba wspomniane zadania nie są traktowane przez autora równorzędnie. Próba stworzenia uniwersalnej teorii komizmu jest wyraźnie celem nadrzędnym, który traktuje na sposób przeprowadzenia aże do porządkujących wśród istniejących teorii komizmu. Czytelnik dość szybko się orientuje, że autor swoją uniwersalną teorię zamierza zbudować na fundamentach teorii „odchylenia od normy”. Ponieważ nie zawsze wyrażają one argumenty, autor ucieka się do takich oto spekulacji:

„Teorię „odchylenia od normy” można by potraktować jako pewną postać teorii „niezgodności”, ponieważ odbieganie jakiegos zjawiska od normy jest niezgodnością między tym zjawiskiem a normą, czyli pewnym szczególnym przypadkiem niezgodności w ogóle. (...) Można jednak postąpić odwrotnie i wszelką konieczną niezgodność zinterpretować jako coś odbiegającego od normy. Wydaje się, że z istniejących koncepcji komizmu właśnie koncepcja odchylenia od normy daje największe możliwości stworzenia mniej lub bardziej pełnej i zadowalającej teorii komizmu” (s. 48).

Chwilczkę, co to znaczy „wydaje się”? „Wydawać się” może autorowi, czytelnik żąda argumentów. Poza tym jeżeli rzeczywiście można dokonać takiego odwrócenia, w takim razie mamy tu do czynienia z wiążącymi znaczeń i chociażby siedem razy odwracali członki tego równania, to i tak niczego nie wyjaśnimy. Cytowany wywód jest typowym przykładem stawiania pozornych problemów. Do czego była potrzebna autorowi ta ekwilibrystyka? Ano do wykazania wyższości teorii „odchylenia od normy”. Obawiam się jednak, że tego rodzaju wywody odbiegają od normy precyzji i ścisłości naukowej.

Proszę mi wierzyć, że nie dla złośliwej satysfakcji przytoczyłem powyższy cytat. Niestety, jak na pracę, której ambicją jest porządkowanie i systematyzowanie, zbyt często trafiają się w książce Dziemidoka przykłady zaciemniania i tak już zresztą mgławicowego obrazu.

Jednym z poważniejszych mankamentów pracy jest dość swobodne posługiwanie się teoretycznoliterackim aparatem pojęciowym. Przykład: „Poza tym pamiętne należy, że w satyrze obok komizmu istotnymi elementami mogą być również tragizm, dramatyzm, pesymizm itp.” (s. 50).

Jeżeli nawet zgodzimy się (na co bynajmniej nie mam ochoty) na zestawienie obok siebie na jednej płaszczyźnie tak różnych kategorii, jak tragizm i pesymizm (co to jest dramatyzm? — nie wiem), to w żadnym wypadku nie wolno uznać je za elementy satyry. Pesymizm to chyba określenie pewnej postawy będącej konsekwencją określonego światopoglądu, a więc

czegoś nadrzędnego w stosunku do utworu. Tymczasem autor widzi w pesymizmie tylko jeden z elementów utworu.

Oczywiście na pytanie, czy Dziemidokowi udało się stworzyć uniwersalną teorię komizmu, musi paść odpowiedź negatywna. Jak już stwierdziłem wcześniej, przedsięwzięcie takie wydaje mi się (ostatecznie recenzentowi też się może „wydawać”) nierealne. W tym sceptycyzmie nie jestem osamotniony. Wystarczy powołać się na autorytet Bergsona.

Czytając studium „O komizmie” odniosłem wrażenie, iż autor do tego stopnia przejął się wielkim celem, jaki sobie postawił, że utracił zdolność wyważenia wniosków z przytoczonych przez siebie samego faktów. Ojca więcej części wymieniowych w pracy teoretycznej komizmu (w tej liczbie największym autorytetem w dziedzinie filozofii — od Arystotelesa do Kanta i Bergsona) stawia Dziemidok ten sam zarzut, że stworzone przez nich teorie są równocześnie za wąskie i za szerokie. W tej sytuacji nasuwa się chyba prosty wniosek: jeżeli z prób stworzenia uniwersalnej teorii komizmu obejmującej wszystkie kategorie zjawisk komicznych nie należy w ogóle zrezygnować, to w każdym razie trzeba to próby poprzedzić rozwiązaniami cząstkowymi polecającymi na teoretycznym opracowaniu każdej z tych kategorii o d a z i e i t e. Jeżeli z łańcucha, choćby najmocniejszego, usuniemy któreś ogniwo, to łańcuch (choćby najmocniejszy) się nam rozleci.

Dziemidok stawiając sobie na raz dwa zadania, ani jednego z nich nie rozwiązał do końca. A szkoda, bo jedno z nich jest na pewno możliwe do rozwiązania.

Jaką wartość posiada więc studium „O komizmie”? Przede wszystkim jest to obszerny przegląd istniejących teorii komizmu. Niestety i tu dają się zauważyć dość poważne luki. Zdziwienie czytelnika budzi np. fakt, że jakkolwiek w imponującej bibliografii zamieszczonej na końcu pracy znalazły się tytuły kapitalnych studiów W. Kaysera i J. Manna o grotesce, autor interpretuje tę kategorię estetyczną w sposób zupełnie anachroniczny uznając groteskę za jedną z technik wywoływania komizmu (sic!).

O książce Dziemidoka można wypowiadać się bardzo krytycznie, ale trzeba ją traktować serio. Autor miał odwagę podjąć w niej problem ważny. A nie jest to rzecz bagatelna w epoce dysertacji doktorskich o palancie.

Pajacu, śmieć się z czego innego.

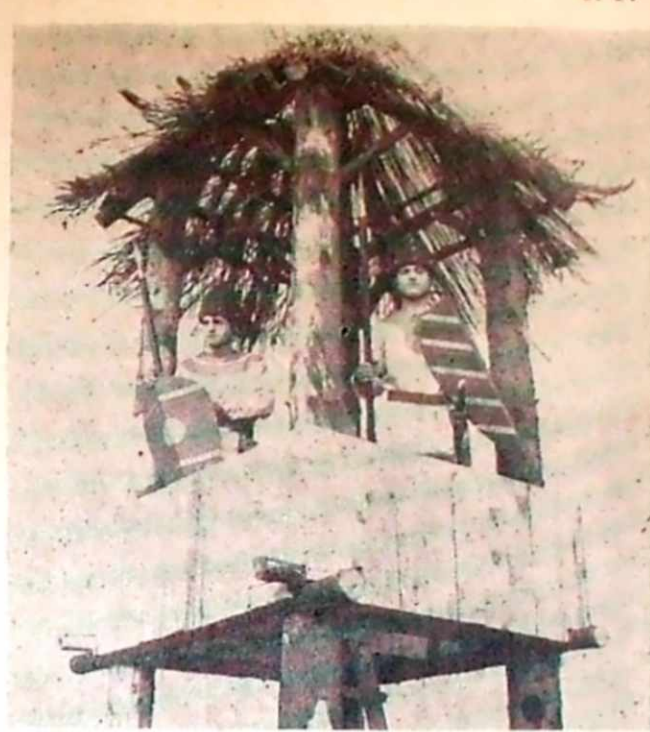
Stanisław Gębala

• Bohdan Dziemidok „O komizmie”, Warszawa 1967.

Podróż w przeszłość

SŁUPIA Nowa — niewielkie miasteczko kieleckie u stóp Lysej Góry, centrum starożytnego ośrodka górniczego — stała się niedawno widownią niecodziennej inscenizacji. W zrekonstruowanej osadzie prastawiańskiej odbył się pokaz wytopu żelaza w tzw. dymarkach, metodą hutniczą sprzed dwóch tysięcy lat. Sygnałem do rozpoczęcia ciekawego widowiska były wici, które zapłonęły na okolicznych wzgórzach. Następnie aktorzy kieleckiego Teatru im. St. Zeramskiego odtworzyli szereg tradycyjnych obrzędów. Warto tu dodać, że od kilkunastu lat tereny dawnych kopalń żelaznych wzbudzają duże zainteresowanie naukowców z Muzeum Archeologicznego i Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, z Muzeum Świętokrzyskiego w Kielcach oraz z Zespołu Historii Hutnictwa Komitetu Historii Nauk PAN. Badania te mają na celu m. in. dokładne ustalenie zasięgu terytorialnego przemysłu hutniczego oraz poznanie techniki i technologii wytopu metali. Całością prac w obrębie staropolskiego zagłębia górniczego kieruje prof. dr Mieczysław Radan z krakowskiej AGH. Jego zdaniem opartym na bogatych wykopaliskach, już kilka tysięcy lat wstecz na tym obszarze istniał dobrze zorganizowany przemysł górnico-hutniczy, stanowiący podstawę utrzymania miejscowej ludności. Wszystko wskazuje na to, że część produkcji hutniczej naszych przodków była eksportowana.

J. P.



Na skraju „prastawiańskiej” wsi czuwali wojownicy wypatrując ewentualnego nieprzyjaciela



Jeden z dawnych tańców z udziałem czarowników



Dr Bielenin z AGH w Krakowie, jeden z inicjatorów „Dymarek” rezbijał piec dymarski, z którego wyjmują się następnie stop. Stop ten byłby następnie poddawany obróbce ręcznej przez kowali. Odbijali oni go młotami, żeby uzyskać czysty metal.

Fot. Maciej Bielowicz

„Nowe Ateny” na nowo wydane

PRZYWCZYCAŁIŚMY się jeszcze w szkole, że czasy saskie to epoka, z której trzeba się śmiać i to z politowaniem. O Oświeceniu było to, o jego ludzkości, od lat szkolnych przy-

wykliśmy wyrażać się z uznaniem. W naszej świadomości pijany szlachcic — półalfabeta w kontuszu to symbol saskich, zaś trzeźwy elegancki w fraku, egzalicjący po francusku to człowiek Oświecenia.

Nie pamiętamy, czy nie chcemy pamiętać, że sarmata z czasów saskich choć na ogół pijał często, pisał i czytał nie tak znowu rzadko. Niemal każdy z ówczesnych kontuszowców znalazł przednio łacinę, a zupełnie niekiedy i w. dzieje ojczyzny i powszechnie (zwłaszcza sta- ocyjne). Wielu z nich potrafiło i pamięci cytować w oryginale klasyków rzymskich.

Lieźba piszących, od pamiętnikarzy i publicystów aż do poetów i autorów książek uważanych wówczas za naukowe i potrzebne była wcale znaczna.

Dla odmiany warto sobie uświadomić, że elegancji z czasów stanisławowskich łaciny przeważnie znał niewiele, a francuski nie zawsze tak znowu gruntownie.

Nie pijał co prawda ówczesny farmazon miodów i węgryna, ale prawdziwym czy fałszywym burgundem i szmpanem potrafił nierzadko zalać pałę (nie podgóloną już, tylko okrytą modną perłką, z której) wsty wytrzasano na mistrzów kowadłko i rozbijano specjalnym młoteczkiem).

Czy każdy elegancki w fraku był oświeconym czytelnikiem Woltera i Monteskiusza? Na pewno nie, umiano sobie tylko stwarzać wówczas pozory erudyty i sawantów.

Podobnie w polityce: czasom saskim jak i stanisławowskim można stawiać plusy z minusami na przemian.

Kultura sarmacka mimo pozorów indywidualności była normowana przez będące w powszechnym użyciu kompendia zbioru wzorców i podreżników.

Przebieżył szlachcic pierwszej połowy XVIII w. chce napisać list, sięgał do dzieła Wojciecha Bystrzowskiego pt. „Polak sensat w liście...” (z kilku wydań aż trzy ukazały się w Lublinie, w latach 1790, 1793 i 1797), które choć dziś może nam cokolwiek bawić nie jest jednakże aż tak humorystyczne (współcześni na pewno traktowali je serio) jak wydana w ostatnich latach kilkakrotnie książka Katarzyny Wołkiewskiej pt. „Jak pisać listy i podania”. Wybijając się na pierwszy, pogrzeb, imieniny czy inną okazję, gdzie wypadało przemówić, sarmata spierał w zbiorze mów pt. „Swa-

da polska i łacińska”, wydanym przez Jana Danejkowicza-Ostrowskiego w Lublinie w latach 1745 i 1747.

Popularnym autorem kalendarzy był Stanisław Duńczewski, profesor matematyki w przelatywnej Akademii Zamojskiej, cenionym heraldykiem Kasper Nieścicki, autorem pierwszej polskiej encyklopedii kwiadym Joachim Benedykt Chmielowski (1780—1783).

Był to autor płodny; pozostawił po sobie kilkanaście dzieł (treści dewocyjne) (niewiele chyba gorszych od tych jakie wydawano pod koniec w. XIX) malowarstwie herbary, a wreszcie wielką, czterotomową encyklopedię z kilometrowym ówczesną modą tytułem o pierwszych słowach „Nowe Ateny”.

To właśnie dzieło nieśmiertelności Chmielowskiego. Wzrost literatury polskiej jako symbol clemnoty i zacołania czasów saskich. Rozdział nad nim szaty Ignacy Chrzanowski, natrząsał się ze Julian Krzyżanowski.

I oto w roku 1966 „Nowe Ateny” nieoczekiwanie po raz trzeci ujrzały światło dzienne (I wyd. 1745, II wyd. 1754). Wydał je sumptem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie Jan Józef Lipski.

Zaopatrzył on rzecz przedmową — pro more — w której wiele napisał o autorze i dziele, nie dał jednak tła epki, na którym należało Chmielowskiego pokazać.

Zestawił za to Lipski Chmielowskiego z Józefem Baka, pisząc jednocześnie, że autor „Nowych Aten” nie miał takiego szczęścia jak autor „Uwag o śmierci niechybnej”, za którym biał się i do rangi (poetyckiej) przywrócił Wacław Horowy.

Stwierdzenie to nie jest ścisłe, znalazł bowiem niedawno Chmielowski swego obrońcę w osobie Stanisława Grzybowski, który w rozprawie pt. „Z dziejów popularyzacji nauki w czasach saskich — Nowe Ateny, pierwsza polska encyklopedia powszechna” („Studia i Materiały z Dziejów Nauki Polskiej” Seria A z. 7, 1965) potraktował jego dzieło bardzo poważnie i przyznał mu należną rangę. Uznał oczywiście Grzybowski, że „Nowe Ateny” nie są wolne od błędów i braków (których przecież nie ustrzegła się nawet „Wielka Encyklopedia Powszechna PWN”), jednakże stwierdził: „...należy raz jeszcze z naciskiem podkreślić, że jako pierwsza polska encyklopedia powszechna były dziełem pionierskim... Wady tego dzieła są wadami wieku, w którym powstało, zalety swoje zaś zawdzięcza autorowi i za to niewątpliwie J. B. Chmielowski zasługuje na sprawiedliwą i żywcześnie ocenę potomności”. Ma zatem encyklopedia Chmielowskiego wady, ma i zalety. Jednakże czytelnik naszego wydania nie może sobie wyrobić takiego sądu skoro z czterech tomów otrzymał jeden, grubo wprawdzie, ale zestawiony z fragmentów dowolnie

przez wydawcę zestawionych (Lipski sam to stwierdza w Przedmowie).

Dr Zbigniew Góralski w recenzji „Nowych Aten” („Życie Literackie” 1967 Nr 5) uznał, że: „wybór tekstów przedstawiony przez Lipskiego jest trafny i zawiera samą esencję dzieła Chmielowskiego”. — Nie jest to sformułowanie ścisłe ani doładne. Jak słusznie podkreślił Grzybowski, „Nowe Ateny” są encyklopedia powszechna — zbiorem artykułów z wszystkich dziedzin ówczesnej wiedzy, tymczasem to, co dał w swym wyborze Lipski jest tylko zbiorem sensacyjek, bawiących dzisiejszego czytelnika.

A zatem obraz jaki na podstawie wydania Lipskiego można sobie wyrobić o książce i jej autorze jest z gruntu fałszywy. Lipski pominał wszystko to, co Chmielowski napisał rzeczowego i na owe czasy cenne z astronomii, matematyki, architektury, wojskowości, filozofii, polityki, prawa czy historii.

Pominał też (bez powodu) drobne nawet wzmianki na ten temat) wykaz pozycji wykorzystanych przez autora, sumienie przez niego zestawiony.

Od strony edytorskiej warto zwrócić uwagę na fakt, że Lipski przedstawia kolejniol rozdziałów, nie podaje z jakich tomów teksty pochodzą, ani co zostało pominięte.

Nie ma też w książce przypisów, co jest brakiem bardzo poważnym.

Wbrew przyjętym dziś zasadom edytorskim nie podał wydawca modernizacji ortografii autora (próbuję to w Przedmowie uzasadnić względem na zachowanie charakteru właściwego epoki). Oprócz tego zwroty i wyrażenia łacińskie zaopatrzone są tłumaczeniami od razu w tekście — co również jest sprzeczną z praktyką wydawniczą.

Wreszcie sprawa drobna: imaginacyjny portret autora piórka Sz. Kobyliski opatrzone dewizą „beati pauperes spiritu”, precyzyjną od razu stosunek wydawcy do autora, którego jak pisze w Przedmowie nie chce on skrzywdzić ani przedstawić „z niewłaściwej strony lub w fałszywym świetle”.

I jeszcze zagadka: Chmielowski był herbem Nalecy, tymczasem rysownik nie wiedząc czemu ozdobił jego portret herbem Jastrzębiec II — przepraszam za ignorancję może to kiejnot Kobyliskich, a może Lipskich?

Na koniec trzeba zapytać: dla kogo książkę tę wydano? Na pewno nie dla specjalistów, ci bowiem śledzą raczej po wydaniu oryginalne. Wątpliwe też czy myślano o miłośnikach przeszłości, nie ma bowiem w książce nawet popularnonaukowego aparatu.

Brano zatem chyba pod uwagę przeciętnych zjadaczy programów telewizyjnych. W takim jednak wypadku zabawa to zbyt kosztowna. Nie chodzi tu już o cenę (50 zł za parę godzin śmiechu), ale po prostu o papier, którego przecież nie mamy zbyt dużo.

Bohdan Królikowski

PANOWIE, W POLSKĘ!

Problem na pozór biały, ale ponieważ red. Maurycy Pałwoda w jednym z numerów „Kamena” poświęcił tyle ironicznych uwag naszym handlowcom i gastronomikom, warto go (problem) poruszyć. Pomszczynie mówi się o konieczności wzmocnienia walki z plagą alkoholizmu, lepiej by jednak było, aby na mójtoieniu się nie skończyło. Spróbujmy np. kupić w lubelskich Delikatessach ćwierć litra gatunkowej wódki! Nie ma! Są tylko półlitrowki. Ktoś, kto normalnie zadowolony byłby z mniejszą ilością, musi brać większą butelkę. Może dyrektor lubelskich Delikatessów wybrałby się kiedyś do Białegostoku i zobaczył, że jednak tamtejsze Delikatessy potrafiły rozwinąć ten problem. A swoją drogą żal serce ścisła, kiedy ogląda się Delikatessy w innych miastach. Bardziej przedsiębiorczy ludzie nimi kierują, czy co?

Ryszarda Chmielnik
LUBLIN

BRAK POZTÓWEK

Chełm jest miastem, w którym ogłoszono Manifest PKWN. Wie o tym każdy obywatel w Polsce, który przekroczył, powiedzmy, dziesiąty rok życia. Lublin był pierwszą stolicą Polski Ludowej, siedzibą władz PKWN. Te dwa fakty zbliżają do siebie miasta, które i tak łączą zależności administracyjne. Podczas przelotnego pobytu w Lublinie, nie mogąc już pozwolić sobie na wybieżkę do Chełma, chciałem chociaż wystąpić znajomym widokówką przedstawiającą budynek, z którego wygłoszono słowa Manifestu. Na próżno szukałem! W kilku kioskach odpowiadano mi, że jestem w Lublinie i tylko widokówki z tego miasta mogę otrzymać, a jeśli interesuje mnie Chełm, to mogę tam pojechać. Nie wydaje mi się to wszystkim zbyt rozsądne. Czy rzeczywiście tak trudno zgromadzić w kioskach stolicy województwa widokówki z innych miast Lubelszczyzny?

Adam Jaskólski
WROCLAW

BIAŁYSTOK

● Komisja Kultury i Oświaty Prezydium MNW w Białymstoku opracowała program oddziaływania kulturalnego na młodzież. Planuje się szereg akcji organizowanych wspólnie z Muzeum Okręgowym, Białostocką Orkiestrą Symfoniczną, Towarzystwem Fotograficznym, Teatrem im. Węgiełka. Jedną z form współpracy z Muzeum są np. lekcje-powtórki z historii organizowane dla szkół w salach muzealnych.

● W konkursie literackim na opowiadanie, zorganizowanym przez Rozgłośnie „Polskiego Radia” w Białymstoku, Wdż, Kult. PWRN, WKZZ i Białostockie Towarzystwo Kultury, nie przyszedł żaden z nagród. Jedno z pięciu wyróżnień otrzymał białostocki dziennikarz Leszek Kozusko za opowiadanie „Znamię Jaskółki”.

● Państwowy Teatr Lalek „Świerczka” odniósł wielki sukces wystawiając podczas ostatniego Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuk Rosyjskich i Radzieckich w teatrach lalek, który odbywał się w Łodzi, widowisko Jurija Jelisiejewa „Jak się bawić to się bawić”. Reżyseria Joanny Plekarskiej.

● Okolniczościowe honorowe medale przyznał Zarząd Okręgu ZPAP wyróżniającym się uczestnikom i organizatorom III Ogólnopolskiego Pleneru Malarstwa w Białowieży — Teresie Benarowicz i Dorocie Labanowskiej z Białegostoku oraz Jerzemu Pankowi z Krakowa.

WIEKIĘDY chmury miotane ponad górą wiatrami tworzą dziwaczne obrazy, istny czarodziejski taniec. Szum i piski wiatrów w klasztorze ciągle — ostrzegają stare kroniki. Na Łysej Górze bowiem zawsze było straszno, od najdawniejszych wieków. Tu w wigilię św. Jana zbiegali się kiedyś powietrznymi drogami czarownice i urządziły z biesami ligę. Tu przed 200 laty wmurowano w klasztorze kości 28 opatów, 23 przeorów i 1023 zakonników. Tu podobno kruszyła zwłoki księcia Jeremiego Wiśniowieckiego.

A widzieliście skamieniałą postać wędrowca? Po lewej stronie drogi wiodącej ze Słupi do klasztoru na Łysej Górze stoi pod lasem kamienna figura, wyobrażająca kłęczącego wędrowca, zwróconego twarzą ku klasztornej górze. Podobno kiedyś pewna grzesznica podążała do łysogórskiej kaplicy na kłęczkach, a ponieważ nie doszła, bo opadła z sił, kazala w tym miejscu wyocisnąć na pamiątkę statuę w kamieniu. Mówią, że figura ta powoli posuwa się ku górze, a jak dojdzie tam, będzie koniec świata i skończy się pokuta owej grzesznicy. Pocięcha dla nas, że posuwa się bardzo powoli. Inni kronikarze twierdzą, że figura przypomina postać królewicza węgierskiego Emeryka, który ofiarował węgierskiemu kościołowi drzewo świętego krzyża. Inni znów utrzymują, że jest to ów skamieniały Litwin Lubart lub Klejstut, który wracając w 1370 roku z wycieczki do Włochy ukradł tutaj skarby i relikwie. „Atoli — jak podaje kronikarz — gdy w drodze wóz, na którym relikwia znajdowała się, stanął, a konie

● Białostockie kabarety studenckie „Kontrasty” i „Skamb” odniosły sukces spektaklami „Chmur” wg Arystofanesa oraz programem „A serca nie śpią”. Lublinianie oglądali je podczas II Studenckiego Wiosny Teatralnej. W końcu stycznia odebrały się w kabaretach kolejne premiery. M. in. „Kontrasty” przygotowały program publicystyczny o Wietnamie.

KIELCE

● Wojewódzki Dom Kultury obchodził w grudniu 15-lecie działalności. Najbardziej aktywni pracownicy otrzymali z rak wiceprzewodniczącego Prez. MNW Bolesława Mraka odznaczenia — „za zasługi dla Kielczyzny”.

● Istnieje duże szanse, że muzeum Wisły, którego utworzenie jest od dawna dyskutowane, będzie mieściło się w odbudowywanym obecnie zamku w Sandomierzu. Rok temu poruszaliśmy w „Kamieniu” problem lokalizacji w Sandomierzu domu kultury. Miał on mieścić się na zamku. Obecnie dowiadujemy się, iż Sandomierz w najbliższych latach otrzyma nowoczesny dom kultury i sportu. Poza salami odczytowymi, pracowniami plastycznymi itp. znajdzie się tutaj również kryty basen pływaki oraz siłownia lodowiskowa. Będzie to pierwsza tego rodzaju inwestycja w woj. kieleckim.

● Muzeum Etnograficzne w Łodzi i Dział Etnografii Muzeum Święto-

kryjskiego prowadziły w ub. roku badania na terenie Puszczy Kozienickiej, dot. zagadnień gospodarki rolnej i leśnej, obrzędów rodzinnych itp. Wyniki badań będzie monografia, którą wyda Muzeum Świętokrzyskie.

● Na Kielczyźnie działa już 12 tzw. studiów specjalistycznych organizowanych przez TWP, zajmujących się problematyką wychowania estetycznego. Ostatnio Studium Specjalistyczne zorganizowano w Koszycach.

LUBLIN

● Na konkurs projektu pomnika ku czci oficera Majdanka wpłynęło 140 prac z całej Polski. Pracą sądu konkursowego kierował przewodniczący Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, minister Janusz Wierzbicki. Pierwszą nagrodę nie otrzymał. Nagrodę drugą otrzymali artyści-rezbiarze Stanisław Strzywiński z Naleczowa oraz arch. Wnętrz Juliusz Kleczek z Lublina.

● Teatr Akademicki UMCS „Gong-2” (pisaliśmy o nim w 22 numerze „Kamena” z ub. r.), odniósł wielki sukces podczas IV Łódzkiego Spotkania Teatralnych teatrów studenckich. W Spotkaniach wzięło udział 12 teatrów, które dały 15 spektakli. „Gong-2” wystąpił z przedstawieniami: „Elzbieta Bam” oraz „Za! — kronika 1917 roku”. Za obydwie spektakle Teatr otrzymał główną nagrodę — „Boga Deszczu”. Kierownikiem Teatru, Andrzejowi Rozhinowi, przyznano główną nagrodę indywidualną za inscenizację, a Barbarze Michalowskiej-Rozhin nagrodę za rolę aktorską. Dodatkową nagrodę dla zespołu stanowi wyjazd do Włoch.

● W Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim: „U źródeł nowego wieku” ogłoszonym z okazji 50 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej przez Forum Poetów Hybrydy jedną z dwóch drugich nagród przyznano lubelskiemu poecie Zbigniewowi Strzałkowskiemu.

Wśród osób wyróżnionych znaleźli się Wiesław Kazanek z Białegostoku, Elżbieta Rosiak z Lublina i Stanisław Bielecki z Sandomierza.

● Remonty w zamkowego Starożytności Muzeum Kozłowej już 27 mln zł. Dotychczas wyremontowano 81 mieszkań o 280 izbach.

RZESZÓW

● Przedstawiciele środowiska naukowego oraz władz partyjnych WSI spotkali się z przedstawicielami podobnej uczelni ze Lwowa, którzy odwiedzili Rzeszowszczyznę. Warto odnotować, że na Politechnice Lwowskiej studiuje 24 tys. osób, w tym 11 tys. na studiach dziennych.

● Rzeszów doczekał się własnego Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki, miasto wzbogaciło się o jeszcze jedną, aktywnie działającą placówkę kulturalną. W każdą środę odbywają się tutaj wycieczki literackie, klub organizuje wycieczki muzealne, dyskusje na temat społeczno-polityczne, interesujące projekcje filmowe. Teatr studencki otrzymuje szanse prezentowania na klubowej scenie swojego repertuaru. M. in. z „Empikiem” współpracuje Teatr Propozycji „Rohol” z rzeszowskiej SN.

● W Jarosławiu przy placu Bołtne prowadzony jest remont tzw. małej synagogi. Koszt remontu ok. 1 mln zł. W przyszłości w budynek znajdzie pomieszczenie pracownia konserwatorska, specjalizująca się w odnawianiu ikon.

● Dział Archeologiczny Muzeum Okręgowego w Rzeszowie zorganizował wycieczki poetyckie poświęcone twórczości opiewającej zabytki. Tytuł imprezy: „Leśna wiośń leśa z dębowego palaka”.

● Jedną z najaktywniejszych bibliotek na Rzeszowszczyźnie jest biblioteka Zakładowego Domu Kultury WSK w Debicy. Posiada ona 18 tys. woluminów, liczy 750 czytelników, 60—70 osób przez bibliotekę przewija się do—20 osób.

I woły padły, strwożeni Litwini odśladzi zabraną relikwie. Odtąd sława klasztoru szeroko w kraju wrosła. Bardzo to jednak odległe czasy i trudno się dziś doszukać prawdy.

Wieków klasztor obchodził nie tak dawno 950-lecie założenia; kroniki czeskie podają, że żona Mieszka I Dąbrowka sprowadziła z Czech benedyktynów i osadziła ich tu po wzniesieniu kapliczki i małego klasztoru na Łysej Górze.

Tajemnice starego klasztoru

Wiktor Kryszczukajts

Rozbudował go później jej syn Bolesław Chrobry. Pierwsze zapiski o klasztorze pochodzą z r. 1168 i mówią o opatach z de Calvombone czyli Łysej Góry.

W sto lat później Tatarzy złupili klasztor i wymordowali wszystkich zakonników. Wtedy, jak podaje w swych zapiskach Długos, Bolesław Wstydliwy „dla zapewnienia klasztoru wysłał posła do opata góry Monte Cassino i przysyłanych stamtąd 12 braci pochodzenia i językiem Włochów, w klasztorze łysogórskim osadził”.

Za Jagiellów jednak, który przed bitwą z wielkim ukradł tutaj skarby i relikwie, opatami byli już Polacy. Pierwszy z nich nazywał się Mikołaj Bostowski,

herbu Szeliga. Przed 500 laty klasztor strawił pożar. Spaliły się wtedy najdawniejsze księgi rękopiśmienne. Odbudował go wkrótce później Kazimierz Jagiellończyk. W 200 lat potem wpadł tu Szwedzi zwabieni bogactwami klasztoru. Odeszli jednak z pustymi rękoma, bowiem przeorzi bracijskowie wywieźli skarby.

27 października 1771 r. klasztor zgorzał doszczętnie. Pożar był tak gwałtowny, że

braci zakonnej zwany Kolumbem, ukradł ze skarbu 20 tys. zł polskich, leżące zapasy i wychłostał wskazal miejsce ukrytego łupu. W 19 lat później ks. Andrzej Głowacki i ksiądz Jankiel- wicz wzięli się do szukania i zabrali z niego prawie cały majątek klasztoru. Ale i tych udało się wkrótce schwycić. Odebrany łup zarekwirował jednak rząd austriacki i wypłacił później klasztorowi tylko roczną prowizję w sumie 1470 zł polskich. Od tego czasu datuje się upadek Zamkowej klasztoru. W roku 1815 przebywa w nim benedyktynów, mimo iż mógł on ponownie zostać słu. Około r. 1870 mury klasztorne przetrzebiono na wienienie, które później w okresie międzywojennym zasłynęło jako więzienie na św. Krzyżu. Sam Stanisław Car, sanacyjny minister sprawiedliwości, podaje w broszurze „Dziesięciolecie wienienia w polskiem” fakty zastraszającej śmiertelności wśród więźniów na św. Krzyżu. W roku 1921 odsetek zgonów wśród więźniów wynosił 28 proc., tj. 91 zgonów na 319 więźniów, a w r. 1923 notowano 88 zgonów na 220 więźniów. W siedem lat później więzienie liczyło około 500 więźniów.

Dziś nikt tu nie szuka klejnotów, złota ani pieniędzy. Tego chyba już nie znajdziemy, choć bierzemy tylko, co jeszcze może się kryć w fundamentach i poklaskowanych ścianach. Ale prawdziwymi skarbami są znalezione przed kilkoma laty przy przebudowie powięzionych murów na schronisko PTTK stare mapy francuskie Europy wschodniej, wydane w Paryżu, kilka dawnych monet oraz ślady istnienia ukrytej gdzieś przed władzami carskimi kroniki klasztornej.

PLASTYKA

Smutna wystawa

A WIEC, po rocznej przerwie, lubelskie środowisko plastyczne wystąpiło w styczniu z wystawą okręgową. Wystąpiło zdziśiatkowane, z przyczyn bliżej nie znanych prezentacja Okręgu Lubelskiego ZPAP okazała się, poza nielicznymi wyjątkami, aczkolwiek znaczącymi, imprezą artystycznie chybłą i niepokojącą, jeśli chodzi o jakiekolwiek wnioski dotyczące sytuacji naszej plastyki. Styczniową ekspozycję można właściwie nazwać salonem starszej generacji, która zarówno liczbą nazwisk jak i prac całkowicie zdominowała wystawę, a tym samym nadała jej specyficzny ton i — niestety — obniżony poziom. Jestem przy tym jak najbardziej odozsa-miania zaawansowanego wieku malarzy z miernym pacykowaniem. Nie o to chodzi.

Ale tak się nieszczęśliwie złożyło, że ta właśnie generacja zaprezentowała prace co najwyżej przeciętne, nawiązując do tradycji w ramach konkretnych konwencji, związanych z innym światem i właściwą mu postawą artystyczną. Kto, poza Zenonem Kononowiczem (a wśród młodszych poza Jerzym Durakiewiczem) uwidocznił choćby znośnie opanowanie warsztatu, szczególnie istotne przy uprawianiu malarstwa o charakterze postimpresjonistycznym? Niech mi wolno powiedzieć, że nikt.

Nie wiem, bom w Lublinie nigdy nie miał okazji przypatrzeć się pracom jury, jakimi kryteriami kieruje się komisja kwalifikująca prace na wystawy okręgowe. Ale mam podstawy przypuszczać, że chodzi o umożliwienie udziału tym wszystkim członkom ZPAP, którzy mają na to ochotę, popartą jakimiś piórami. Jeśli się nie mylę, jeśli wystawy o takiej nazwie mają być okazją do publicznego wystąpienia, i niczym więcej, to warto zasada tę podać do publicznej wiadomości —

choćby celem uniknięcia nieporozumień. Albowiem teraz idzie się do BWA, aby zapoznać się z osiągnięciami członków Związku. Opinia, jaką można sobie wyrobić na podstawie ostatniego pokazu, jest zniechęcająca.

Albowiem nawet ci młodzi i w średnim wieku, o których niedawno jeszcze mówiono „obiecujący”, całkowicie zawiedli. Pokazali malarstwo żenująco płytkie koncepcyjnie („Jesiak” Górnika), wyprane z jakichkolwiek treści: plastyczne i emocjonalnych. Gdyby jeszcze jakieś usiłowania, próby wyjścia poza wytarte stereotypy, a choćby zmuszający do uwagi ślad autentycznego zaangażowania w wykonaną robotę... Nic z tego. Może tylko Olejnicki chciał coś więcej, niż mu się udało zrealizować, może tylko Makarski, może — wśród starszych — Filipiak w mniejszym z dwu obrazów

Jedynym twórcą, który wśród wystawiających intryguje i wciąga w sferę działania swoich prac, okazał się Jan Ziemiński. Nie pierwszy zresztą raz zajmuje on tak wyjątkową pozycję.

Wystawa okręgowa ukazała miłośnikom lubelskiej plastyki (rzeźba!) leniwe dreptanie w kolezku wyksploatowanych i przenicowanych doświadczeń, ujawniła martwość zdecydowanej większości środowiska. Obawiam się, że znana mi twórczość plastyków, którzy nie wzięli udziału w wystawie, nie jest w stanie podważyć tej generalnej opinii.

Nikogo, kto zna bliżej sprawy lubelskiego środowiska, ocena ta nie zaskoczy. Kryzys zbliżał się bowiem od dawna, a jedynie olbrzymiej zresztą szansy, jaką było I Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców w Puławach w 1968 r., nie wykorzystano. Nie potrzeba tłumaczyć, że szansa ta mieściła się w możliwości kontaktowania się z twórcami wybitnymi, z krytykami, z ludźmi świata techniki i nauki, co wkrótce mogłoby owocować w Lublinie pod postacią żywego ruchu artystycznego — intelektualnego. Pod warunkiem, że zaczynał Sympozjum byłoby wzbogacone. A tak się nie stało. Bo chyba nie można traktować zbyt poważnie efektów „Eksperymentu 66”.

O ile wiem, do tej pory nie ukazały się materiały — referaty i wystąpienia w dyskusji — które obiecywano opublikować po zakończeniu I Sympozjum. Nie wiem jednak, dlaczego dopuszczono do tego skandalicznego zaniedbania. Tak ważne wydarzenie, bez precedensu w Europie, a drugie swego czasu na świe-

cie, doczekało się, tylko fragmentarycznej siły rzeczy, dokumentacji prasowej. Ludzie, zmiłujcie się!

Można zarzucić, że zbyt wiele nadziei wiąże z dobrą organizacją życia plastycznego, bo przecież sztuka jest efektem działalności indywidualnej, że powstaje w pracowni. Tak, racja, ale tylko częściowo, ponieważ dzisiejszemu artyście (czy tylko dzisiejszemu?) intuicja nie wystarczy, potrzebna jest jeszcze duża wiedza i to, co określa się banalnie spryjającym klimatem uprawiania twórczości, czego nie należy utożsamiać z cieplarnią. A tego klimatu w Lublinie nie ma. Czy można za to winić plastyków, tylko ich? Historia starań o piwnicę „Winiarni” na Starym Mieście przeczy temu zdecydowanie.

IJK

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Biel-ski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki) i Romuald Wiśniowski.

Informacji w sprawie prenumeraty udziela placówka pocztowa i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unieka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Korespondencje prosimy kierować na adres Lublin 1 skrytka pocztowa 131

Zam. 9. 3.1968. C-4.



Zenon Kononowicz w pracowni.

Fot. Janusz Urban

W następnych numerach:

- Andrzej K. Waśkiewicz — „Szkic o zaangażowaniu poezji”
- Bohdan Tomaszewski — „Czar piłki nożnej”
- Dyskusja o przeszczepianiu serc i mózgow

„Żona dla Australijczyka”

NIKT już nie pamięta, kiedy odbyła się premiera tego filmu. „Żona dla Australijczyka” na kilka lat nie zniknęła z obrazów polskich kin, a ostatnio także z ekranów polskiej telewizji. Można powie-

dzieć — dyżurny film, zawsze pod ręką, zawsze gotowy do usług. Mnie osobliwie przypięło przedświebierzego Australijczyka i pięknej mazuższanki nigdy nie zachwycały. Kolor kolorem, ale ten film ma niedobrą atmosferę, coś, co budzi sprzeciw takiego jak ja ponuraka. Chodzi mi o stosunek do polskiej dziewczyny. Do jakiego cywilizowanego kraju może przyjechać Australijczyk z zamiarem nabycia żony w sposób szybki i skuteczny? Oczywiście, tylko do Polski! Gdzie może użyć siły i porwać dorosłą kobietę wbrew jej woli? Oczywiście, w Polsce! W jakim kraju obywateli nie tylko nie przeszkadza w tym przestępstwie, ale poświęca swój rozsądek i godność, byle tylko pomóc biednemu cudzoziemcowi? Oczywiście, w Polsce!

BIG BEAT

Nagroda Buławy

Redaktorze! Strasznie trudno jest pisać lewą nogą. Pani Redaktorze Mirosława Knorr wie o tym najlepiej, zwłaszcza, gdy do niektórych tematów wraca wielokrotnie. Dyrekcja LZG mogłaby ustanowić dla Niej odznakę Brązowego Fafika za stałą popularyzację na łamach „Sztandaru” zakładu gastronomicznego o tej tak milej dla czytelników „Przekroju” nazwie. Moim zdaniem i redakcja „Kamień” mogłaby się szarpać i ufundować

dla Pani Knorr jakąś symboliczną chociaż nagrodę w postacię za stałą popularyzację w Szopecie Noworocznej lubelskiego dwutygodnika. Może kwartałna primumerata „Kamień”? A może wazrem młodego krytyka literackiego, Krzysztofa Mętraka (patrz noworoczny numer „Życia Warszawy”) — Nagrodę Buławy? Buława, jak twierdzi Mętrak powinien znajdować w każdym godnym jej tortistrze. Oczywiście tortistrze to swolista licentia poetica; równie dobrze może być teacka czy terekka. Rozmiar buławy — do uzgodnienia.

Mętrak dodaje, że w postaci rzeczowej Nagroda Buławy oznacza... butelkę koniaku. Laureraci będą ją mogli skonsuować po uprzednim porozumieniu się z ofiarodawcą. Nie wiem, czy „Kamień” dysponuje odpowiednim funduszem, zresztą Lublin nie Warszawa, wydaje mi się jednak, że na butelkę „Czaru PGR” może sobie zdobyć. Ewentualnie polewuję kosztów pokryły Zarząd Okręgu PGR, dla którego taka nagroda też byłaby pewną reklamą i wykazaniem się troską o kulturę, tudzież popieraniem twórców.

FELIETON Z REZERWY

Dwa oblicza prawdy

GDY czytam w prasie różne takie „kawalki” o chamstwie, rozwydrzeniu, chuliganstwie i o braku inicjatywy, reakcji na te objawy, że strony społeczeństwa, dochodzę do wniosku, że dziennikarze piszący o tym tak pięknie, sami nigdy chyba nie byli na rozprawie kolegów karno-administracyjnych przy PRN, które starają się te sprawy, jeśli już im raz został nadany bieg urzędowy, doprowadzić do końca.

Widać, że literatura i odświętna publicystyka za wiele miejsca zajęły w naszym życiu, abyśmy mieli być poprawni. Rzeczywistość jest zupełnie inna. I ona właśnie miesza się z literacką fikcją, rodzi w nas niepotrzebne kwasy i powoduje w szeregu przypadków całkowitą nieprzystosowalność.

Pan redaktorze myśli, że jest inny? Głowa ręczą za to, że nie! Bo może się panu redaktorowi nie podobają takie prototypy bohaterów, jak Wołodyjowski, Kmiecik, Zbyszko z Bogdanca, reagujący w szlachetny i honorowy sposób na ludzką krzywdę i poniżenie? No cóż, dziś tacy Wołodyjowscy trafiłby do akt kolegów, jako oskarżeni o współuczestnictwo w rozróżach, a nigdy na liście best-sellerów bohaterów narodowych naszej wyobraźni.

A przecież uskarżanie się w nowych, dzisiejszych czasach na niezuculicę, atrofie społeczna to nic innego, jak brak wyobraźni. Bo nieodzownym składnikiem wyobraźni powinno być przynajmniej jakieś takie rozoznanie w rzeczywistości.

Dlatego dziennikarze warszawscy, którzy dwa lata temu tak mocno oburzali się, że na Marszałkowskiej w biały dzień wyrostek skatował starszą kobietę i nikt palcem nie ruszył w jej obronie, wydają mi się co najmniej maniaki. Dlatego dziennikarze i publicyści w ogóle, którzy tak często narzekają na chuliganów awanturujących się i oburzających w miejscach publicznych takich jak autobus, tramwaj, poczekalnia w kinie, wulgarnymi wyrazami spokojnych ludzi

lorowa także, mieli ochotę na film, musieli więc coś wymyślić. Wymyślił „Żona dla Australijczyka”. Czysta fikcja, grunt, że rzecz do śmiechu. Czego to się u nas nie robi dla rozweselenia narodu?

W czasie ostatnich kwiat film jeszcze raz odwalił swój dyżur w telewizji. Nikt jednak z widzów nie przypuszczał, że pęty pęty przedświebierzego Australijczyka i pięknej mazuższanki przystały już być fikcją.

Nazajutrz po wyświetleniu filmu prasa przyniosła — jak to się zwykło mówi — wiadomość o występach Mazowsza w Australii. Same superlatywy. Sukcesy pod każdym względem: politycznym, artystycznym i matrymonialnym. Okazało się, że dwie członkinie zespołu zakochały się w dwóch Australijczykach, z których dwóch Australijczyków, zachochoło się w takiej samej liczbie mazuższanki i w rezultacie panny „porzuciły zespół” (patrz notatka PAP) i zostały u swych księżat z bajki. Wiadomość prasowa rzecz całą traktuje podobnie jak stronę choroograficzną występów: Oto, jakie powodzenie, oto, co może nasze „Mazowsze”...

Australia tymczasem była jedynym z etapów podróży „Mazowsza”. W następnym kraju — w Egipcie — zespół występował już bez niedawnych swoich członków. Czy rzeczywiście postępki dwóch „żon dla Australijczyka” był takim sukcesem? Wyobrażam sobie dłuższe tournée „Mazowsza” i końcowy komunikat PAP: „Mazowsze” wróciło do kraju odnośnie ogromne sukcesy na estradach świata. Wszędzie jego występy przyjmowane były entuzjastycznie, polowa członków wyszła po drodze za mał. porzucając zespół L. Polskę.

„Żona dla Australijczyka” była czystą fikcją. Ale życie dopisuje prawdę i brak nam przy tym trochę zdrowego rozsądku, żeby rzecz nazwać po imieniu, światwie określić tę miłość od pierwszego wejrzenia, która tak zaiste piła swoje ofiary, że nie pozwala im spełnić do końca swoich obowiązków, które kiedyś nazywały najwłaściwszym powołaniem swego życia.

„Oj przeleciał ptaszek...” — kolacje mi w uszach znana melodia: Przeleciał, przeleciał...

BAR

cały zespół tego pisma nie wrócił jeszcze ze świąt Bożego Narodzenia. Gdyby nie Pani Redaktorze Mirosława Knorr, która dwie strony zapelniała szopką, gdyby nie Pan Redaktor Bogumił Mikulski, który szopkę zilustrował, gdyby nie Pan Redaktor Jerzy Denisik, który dostarczył kilka drobniaków na ostatnią stronę, można by mówić o strajku powszechnym dziennikarzy tego sympatycznego pisma. Wierszówki nie starczyło, czy co u licha? Stanowczo bardziej napracował się zespół „Kurierza Lubelskiego” przygotowując numer noworoczny, czy też zespół „Słowa Ludu”. W numerze tego dziennika wychodzącego po drugiej stronie Wisły spostrzegłem nazwiska niemal wszystkich czołowych kieleckich publicystów i szeregu ambitnych materiałów poświęconych miejscowej tematyce.

Może więc zapełniać na redakcję piosenki K. Jedrusik („Ratunku”) i dedykować ją zespołowi „Sztandaru”? Odpowiednie słowa z dużym znanstwem zagadnienia zapewne ułoży autorka ostatniej i, dziękuję poprzednich, Cierpek Noworocznych.

Co, już za późno? Będę cierpliwy i ten rokcek poczekam....

Jacek

tym idzie współukaraniem (w najlepszym przypadku 500 złotych grzywną). Twoim obowiązkiem jest iść zadrżonim na najbliższy posterunek milicji. Gdyby w tym czasie sasiad zabił swoją żonę, ty jesteś w porządku, a on i tak był w niezgodzie z prawem i tak.

To samo w autobusie; gdy jakiś chuligan ubliża kobiecie, nie zwracaj mu uwagi, by nie stał się sprawcą rozróżby, lecz staj się w jakiś sposób i dyskretnie powiadomij milicjanta. Inaczej możesz oberwać i stanąć jeszcze przed kolegium. Także na ulicy, w bramie, w tranwaju et cetera, staj się postępować zgodnie z normą, jaką narzucają nam współczesne obyczaje.

Aż do czasu, gdy się znovu nie zmienią, nie zaostrzą. I już nie będziesz mógł na przykład ratować tonącego na wodach niedozwolonych dla kąpiel, bo sam zostaniesz oskarżony o przebywanie w nielegalnym kąpielisku. Prosto wystarczy, że zawiadomisz pogotowie ratunkowe, a reszta potoczy się sama.

Ala przedtem pozwólm Państwu dochować się należyte lichej ratowników. Na wszystko w końcu przyjdzie czas.

I pragne jeszcze przy okazji zawiadomić pana, ukochany Panie Redaktorze, że honorarium, jakie mi pan wypłacił za ten felieton, przetrzącając na zapłacenie kary pieniężnej, nałożonej na mnie przez kolegium, za współuczestnictwo w małej „rozróżce”.

Poważnie zobowiązany

Zenon Dunajczyk

NOTY I NOTKI

Z ŻYCIA WZIĘTE. W „Tygodniku Demokratycznym” znaleźliśmy artykuł pt. „Świat 1967”. Autor: Józef Bar. Obok był zamieszczony artykuł pt. „Horoskopy” Zygmunta Szelligi i „Przez przyzmat jednej księżki” prof. Jana Z. Jakubowskiego. Czy nie prościej byłoby napisać: Zygmunta Szeli i prof. Jan Z. Jak? Zwracamy na to uwagę, bo nasz wędz dziennikarski mówi nam, iż „Bar” to skrót nazwiska naszego stałego współpracownika, którego notabene bardzo cenimy.

„DOOKOŁA ŚWIATA” ma stałą rubrykę pod nazwą „Też z tej ziemi”. W 53 n-rze na 19 znajdujących się tu informacji aż 5 zostało zapożyczonych z „Gońca Górnolubelskiego”. Czy ten tygodnik ma najwielniejszych czytelników?

„NOWINY RZESZOWSKIE” z 28 grudnia ub.r. Tytuły na pierwszej stronie: „Państwo zwiąższaz...”, „Przemysł ciężki wykonął...”, „Amerykańscy piraci powietrzni pogwałcili...”, „Premier Izraela złoży...”, „Polska medycyna dorównuje...” itd., itd. Strach pomyśleć, co by robili depeszości „Nowin”, gdyby język polski nie znał czasowników. Zamiast tytułów byłyby białe plamy?

ŚWIĄTECZNY konkurs „Kurierza Lubelskiego” i LSS mimo błędów technicznych rozwiązałyśmy w ciągu trzech minut. Reklama reklama, ale większość czytelników „Kurierza” to jednak nie ewierłinteligenci!

BETA w Warszawie „Życie Literackie” z 24 grudnia) pisze, że w warszawskim Klubie SPATIU wprowadzono profilaktyczne pewne obostrzenia. M. in. wódkę sprzedaje się tylko w „pięćdziesiątkach” i z tzw. pełnowartościową zakąską. „Efekt jest taki, że kelnerki zwróciły się do członków komisji mającej uzgodnić sytuację o... zakup wótki. Ponoć nogi opadają im od biegania między stolikami i bufetem z tacami pełnymi szkl”. W lubelskiej „Norze”, klubie pracowników twórczych (?) alkohol sprzedaje się w „dwudziestkach piątkach”. Kelnerki tu nie ma, każdy obsługuje się sam. Ponieważ alkohol pity w „dwudziestkach piątkach” szybciej rozchodzi się w organizmie, narzekają mogą tylko bufetowe. Zyskuje kieszeń klientów.

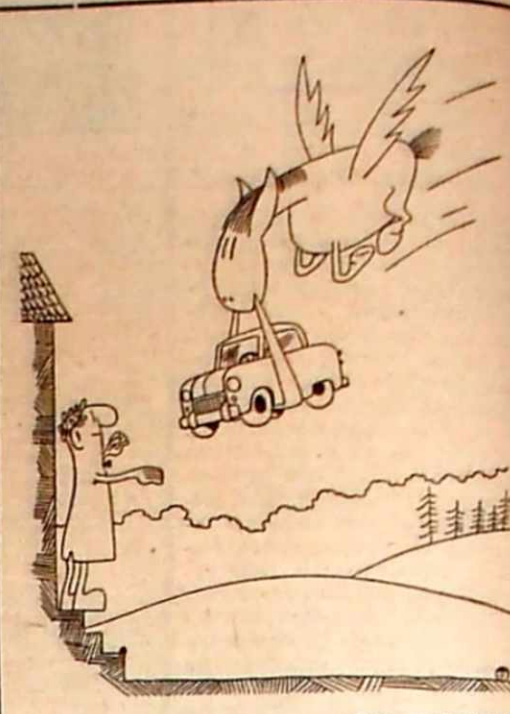
BARDOZO LUBIMY naszego wrocławskiego współpracownika, W. Fuglewicza, który dostarcza nam sympatyczne rysunekki na ostatnią stronę. Nie pochwalamy jednak autora, kiedy dokonuje autoplagiatu. W „Wrażach” z 24 grudnia ub. r. znaleźliśmy poniższy rysunek. Prosimy porównać z rysunkiem, który ukazał się w poprzednim numerze „Kamień”.



„Stara bida”? Oj, stara! Nawet podpis „Obwieś” stanowiący pseudonim W. Fuglewicza, jeśli go brać dosłownie, nie stanowi usprawiedliwienia.

W NOWOROCZNY poniedziałek nigdzie w Lublinie nie było daniego, ba — żaden lokal kategorii 8 czy I nie był otwarty wieczorem. Papierosy można było dostać tylko na stacji, a w tamtejszym bufecie zjeść kolację. 235 tysięcy mieszkańców. Stolica województwa. A może po prostu zwykli grajdołki?

MAJ



Rys. W. Fuglewicza

POSTE-RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste-Restante ma w zasadzie znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce.

Dziś robimy od tej zasady odstępstwo. W rubryce przedrukujemy ze świątecznego n-r „Sztandaru Ludu” fragment Szopki Noworocznej pióra Mirosławy Knorr poświęcony „Kamieni” oraz rysunek Bogumiła Mikulskiego. Sądźmy, że w ten sposób chociaż obw błyskotliwy fragment i cenny rysunek ocalimy od zapomnienia.

Przypominamy, że w Poste-Restante honorarium nie placimy.

„W ogóle coś o nas mówili”

Słychać żalotne skomlenie. Wreszcie i widać smutne zwierzęce oblicze pieszka z I strony świątecznego numeru „Kamień”, gdzie nad zdjęciem widnieje napis: „Spróbuj nie przeczytać tego numeru!”

PIESEK

(mówi, co we śnie jest zupełnie możliwe)

Popatrzenie na moje zmartwione oblicze. Leży w kieszeni „Kamena”, codziennie ją liczę i widzę, że jej jakoś nie ubywa przecie... Więc teraz liczę... na was, że się zmiłujecie. I zmarzeczek mi przybyło ostatnio bez liku (Zebry chociaż z ćwierć tyle nowych czytelników...) I „buźni” mam w podkówkę, broda mi się trzęsie. A jak dobrze się przyjrzeć — tza wisi na rzęsie. Niech nie zmylą pazury i kły was (na zdjęciu), Ja krzywdy nie uczynie nawet i dziecięciu. Te portki, które obok, to nie Salomona. To lewa noga Jaska w pisaniu uprawiona... Wziął mnie właśnie na stat. Pies też coś potrafi. Ot, choćby dla przykładu „przekrojowy” Fafik. Teraz nową rubrykę będziemy tworzyli

Pod tytułem: „W ogóle coś o nas mówili”...



Dziękujemy! Polecamy się na przyszłość!

Odpowiedzi redakcji

A. K. w Polanicy—Zdroju. Pana list przekazaliśmy Jacekowi. Ani Jacek ani my nie wiemy jednak, o co chodzi. Może jeszcze raz wyłoży Pan swój punkt widzenia na sprawę kuszetek i koedukacji.

F. R. w Borowcu. Przekazujemy do „Ziemi i Pieśni”. Autor księżki „Serca za drutem” dziękuje za miłe słowa.

B. B. w Katowicach. Co to jest Drogi Panie, pomylił się Pan: w zasadzie krzyżówek nie wprowadziliśmy w naszym piśmie, chociaż niektórzy namawiają nas do tego. Ale i w takim wypadku Pana „utwór” nie mały wielkich szans na zakwalifikowanie się do druku.

R. D. w Radomiu, „Kamilio”, B. C. w Trawnikach. Ani to wierze, ani to proza. Żeby jeszcze były jakieś myśli oryginalne! Jeśli kopiujecie się twórczość innych poetów, trzeba

to robić tak, aby tylko dobrzy fachowcy mogli odróżnić fałszykat od oryginału!

Bor. w Poznaniu. Czy próbował Pan coś wysłać do „Nurtu”? Zauważyliśmy, że poezja małego mieszczańskiego drukuje poezje. Proszę nam więcej, że wierze, które otrzymujemy z całej Polski, możemy liczyć nie na sztuki, lecz na kilogramy. Na sekcjach nie każdy wiersz stanowi poezję.

UWAGA: Po tej odpowiedzi, jaką udzielamy p. Bor., powinniśmy nam rozgrzeszyć Szanowni Autorzy. Nie jesteśmy po prostu w stanie udzielać rad wszystkim, którzy się do nas zwracają. Trudno nam również odpowiedzieć listownie na każdy list, bo musielibyśmy redakcję zamienić w poręcznię poetyczną. Równocześnie przypominamy, że nie zwracamy nadesłań bez zamawiania materiałów.